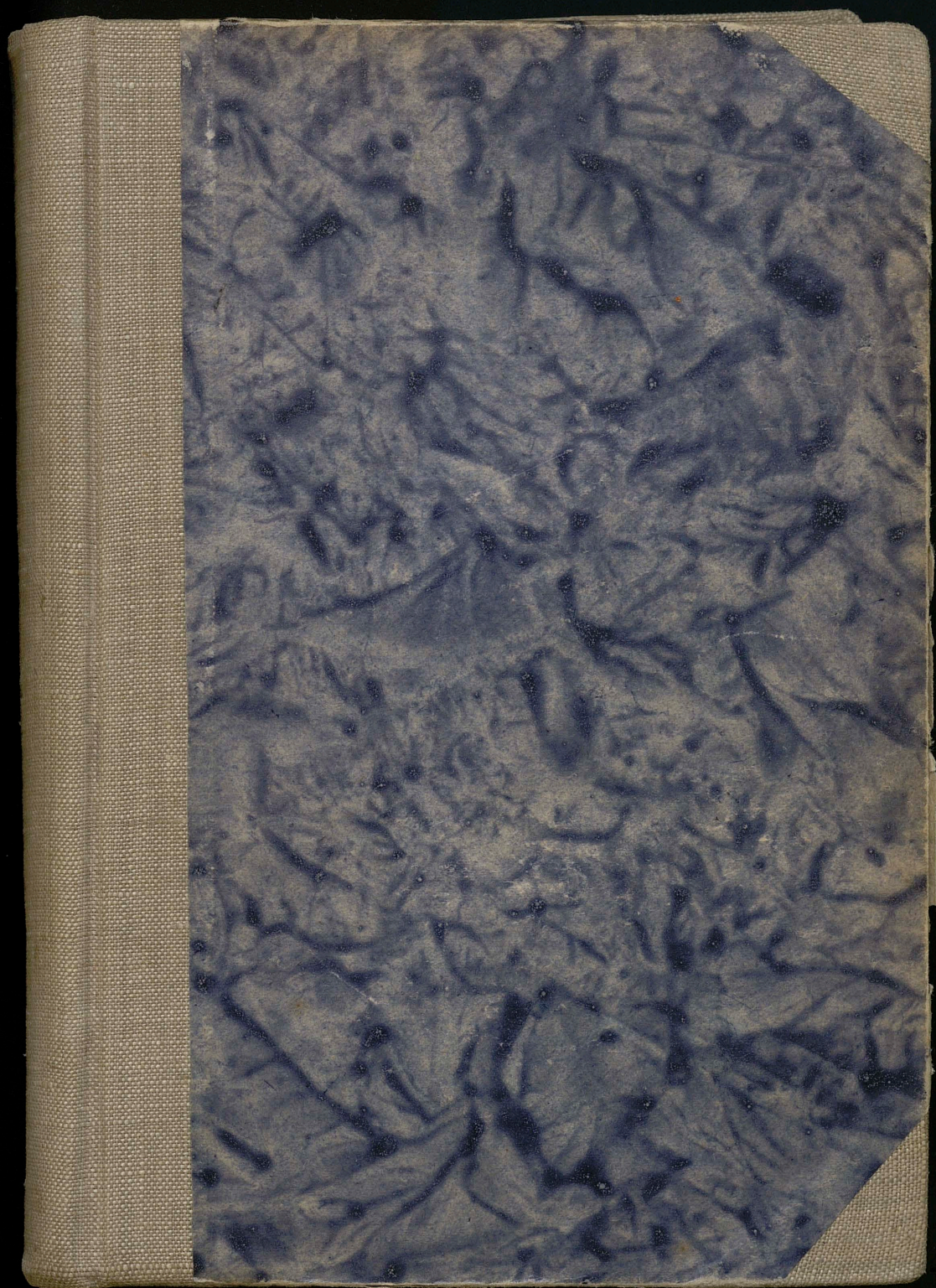






DZIEŁA POETYCKIE

✓
A D A M A S N Y K

(El..y)

D Z I E Ł A P O E T Y C K I E

W Y D A N I E Z U P E Ł N E

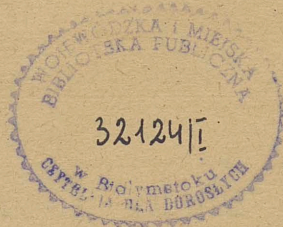
Opracował

Z Y G M U N T M I C H A Ł O W S K I

T O M I

W Y D A W N I C T W O L U D W I K A F I S Z E R A

W W A R S Z A W I E



884-1

821.162.1-1



5

74 v

77

Grypskiat. Minister.
Dsm. 25/X. 48 v.

ADAM ASNYK

Adam Asnyk urodził się dn. 11 września 1838 roku w Kaliszu nad Prosną. Ojciec jego, b. porucznik 4 pułku strzelców pieszych Wojska Polskiego z czasów ks. Konstantego, ożeniony z pochodzącą z Wołynia Konstancją Zagórowską, po bitwie pod Grochowem dostał się do niewoli, a potem był zesłany na Sybir. Po powrocie do kraju wziął się do handlu — był najpierw właścicielem hotelu w Kaliszu, a potem otworzył pierwszą w tym mieście księgarnię.

W ojcu poety — jak sam Asnyk o tym mówi — „przeważały demokratyczne tendencje“; w matce natomiast „odczuć można było jeśli nie same pojęcia, to przynajmniej pewną wrażliwość arystokratyczną tak w życiu i w stosunkach, jak w rzeczach form i smaku“. Ojciec uczył syna musztry i „zaprawiał do rygoru wojskowego“, matka uczyła go grać na fortepianie. W pełnej patriotyzmu atmosferze domu rodzinnego kształtowała się dusza przyszłego poety.

Po ojcu odziedziczył owe „demokratyczne tendencje“, którym pozostał wierny przez całe życie; po matce — ową „wrażliwość w życiu i w rzeczach form i smaku“.

W r. 1849 rodzice oddali syna do wyższej szkoły realnej w Kaliszu, którą Asnyk ukończył jako 15-letni chłopiec, otrzymawszy patent i prawo wstępu do uniwersytetu. Ponieważ dla studiów uniwersyteckich Asnyk był jeszcze za młody — uczył się nadal w domu łaciny, francuskiego i angielskiego, aplikując jednocześnie w sądzie, by zaznajomić się z prawem. Wówczas to — pokryjomu — zaczyna próbować swych sił na polu poezji: pisze i skrzętnie chowa w teczkę swe pierwsze utwory.

Na ten czas przypada i pierwsza miłość poety, który zakochał się w starszej od siebie o dwa lata pannie Walerii Nawrockiej; ukochana bawiła się tą młodzieńczą miłością i bez żadnych skrupułów wyszła za mąż. Echa tej zawiedzionej miłości znajdziemy później w wierszu „Legenda pierwszej miłości“.

Na życzenie ojca wstępuje Asnyk w r. 1866 do Instytutu Agronomicznego w Marymoncie pod Warszawą. Przebywszy tam kilka miesięcy i przekonaawszy się, że studia rolnicze wcale mu nie odpowiadają, wraca Asnyk do domu, gdzie w dalszym ciągu pisze poezje i tłumaczy autorów obcych (V. Hugo). W rok później zapisuje się do świeżo otwartej w Warszawie Akademii

Medyko-Chirurgicznej. Porzuca na pewien czas poezję, której miejsce zajmuje ożywiona działalność patriotyczna w zakonspirowanych stowarzyszeniach.

Po dwóch latach studiów w Akademii Warszawskiej przerzuca się na dalsze studia medyczne do Wrocławia, skąd po dwóch semestrach wraca do kraju i zamieszkuje u rodziców w Kaliszu. Aresztowany za wspomnianą działalność patriotyczną, pięć tygodni przebywa w więzieniu w cytadeli warszawskiej, po czym w r. 1860 opuszcza kraj i udaje się do Paryża, gdzie od razu wpada w wir emigracyjnych partyjnych walk. Po sześciu tygodniach pobytu w stolicy Francji jedzie do Heidelbergu, gdzie — jako słuchacz wydziału filozoficznego tamtejszego uniwersytetu — studiuje filozofię ścisłą i nauki społeczne. Pod koniec roku 1862 wraca do kraju i wstępuje w szranki działaczy społecznych, współpracując z partią „czerwonych“. Po wybuchu powstania styczniowego, gdy Traugutt objął dyktaturę, Asnyk przez czas krótki jest członkiem Rządu Narodowego. Bierze czynny udział w walkach powstańczych, a po rozbiciu jego oddziału zmuszony jest emigrować.

Upadek powstania przynębia i rozbija duchowo poetę, pripraviając go o melancholię. W takim nastroju jedzie do Drezna, a potem znów do Heidelbergu. Rodzice namawiają go do podróżowania. Idąc za ich radami, zwiedza Niem-

cy, Holandię i Włochy. Z Neapolu w 1864 roku posyła do „Dziennika Literackiego“ we Lwowie swój wiersz pt. „Podróżni“, który był pierwszym drukowanym wierszem poety. Dalsze etapy podróży Asnyka — to Szwajcaria, znowu Heidelberg, gdzie w r. 1866 otrzymuje dyplom doktora filozofii, a potem znowu Paryż. W r. 1867 wraca do kraju i osiada we Lwowie.

We Lwowie pisze dużo, drukuje i w r. 1869 wydaje pierwszy tom swych poezji, dedykując go rodzicom i podpisując pseudonimem El...y. W następnym roku przenosi się do Krakowa, gdzie spadają nań dwa ciosy: śmierć ukochanej matki i nowy zawód miłosny. W latach 1868—1870 płonie Asnyk pierwszą już nie młodzieńczą, ale poważną miłością do Anieli Grudzińskiej o 15 lat młodszej od niego. Uczucie to, którego liczne echa dźwięczą w poezjach Asnyka, nie znajduje wzajemności. Oslodę bolesnego zawodu stanowi poezja. W Krakowie w r. 1872 wydaje Asnyk dwa nowe tomy.

Po tych dotkliwych ciosach szuka poeta zapomnienia w podróży do Włoch, skąd wraca znowu do Krakowa, gdzie wygłasza wiele odczytów z dziedziny literatury. Często jeździ do Zakopanego i tam poznaje córkę poznańskiego lekarza, Zofię Kaczorowską, z którą żeni się w 1875 r. W rok po ślubie żona — zostawiając poecie syna — umiera. Asnyk jest teraz zupełnie osamotniony (syn pozostaje u teściów); znowu podróżuje i dużo pisze. A kiedy wraca do

Krakowa — rzuca się w wir działalności społeczno-politycznej.

W Krakowie zakłada wraz z innymi działaczami dziennik demokratyczny pt. „Reforma“, który po roku zmienia tytuł na „Nową Reformę“. Zyskując dla swej działalności coraz większe uznanie w społeczeństwie małopolskim za swą pracę społeczno-polityczną, w roku 1889 zostaje wybranym posłem do Sejmu Krajowego we Lwowie. Po jednej wszakże kadencji z powodu braku zdrowia (krwotoki płucne) wycofuje się z życia politycznego, a potem i z „Nowej Reformy“. Dla poratowania coraz to wątleszego zdrowia jeździ na kurację do Meranu, na Sycylię, do Tunisu, na Cejlon. Kuracja ta wszakże nie przywraca zdrowia poecie. 2 sierpnia 1897 roku Adam Asnyk umiera w Krakowie, który — w uznaniu jego pracy — trumnę ze zwłokami poety pochował na Skalce w grobach zasłużonych.

Z. M.

I.
Programowe

DO MŁODYCH

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg:
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśnięcie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłą urojeń zedrzenie z błękitów,
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwyków,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach:
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi:
I wasze gwiazdy ,o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

ODA

W ciemności czasów,
Wśród krzywd i gwałtów kolei złowrogiej,
Wśród krwawych o łup zapasów,
Wśród nienawiści i trwogi,
Nad grozą powszechną bytu,
Nad dzikim żyjących zgiefkiem,
Jak gwiazda na tle błękitu,
Niebiańskim płonie światełkiem
Miłość, co całej królując naturze
I słodsze budząc pragnienia
Ucisza walki... i burze

W jasność przemienia.

Cichą ponętą,
Pociągami zmysłów i czarem rozkoszy,
Srogość łagodzi zawziętą,
Zajadłość zemsty rozproszy.
Gdy usta ogniem zapali
I pocałunkiem połączy,
To z ust płonących koralu
Do serca słodycz przesączy,

I z miłósnego kochanków uścisku
Wytwarza węzeł wśród świata,
Który przy wspólnym ognisku
Wrogów pobrata.

Z namiętnych zmysłów upojęń,
Z cielesnych pragnień i szału,
Dnieje świt uczuć i rojeń,
Brzask ideału.

I płomień żądzny znikomej
Blaskami coraz jaśniej czystszy,
Ogarnia światów ogromy,
Niebiosą zbliża ku ziemi.
Coraz to głębiej w sferę ducha sięga,
I w sercu, co zwolna mięknie,
Rozmówienie w nieśmiertelnym pięknie
Szczepi miłości potęgą.

Coraz to wyżej i dalej
Chór duchów wieździe skrzydlaty,
I na kształt świetlanej fali
Przenika światy.

Tchnieniem harmonii i zgody,
Boski porządek z zamętu dobywa,
Wiąże plemiona i rody
W jednej całości ogniwa:
Nie tylko samą rozkoszą nietrwałą
Sercom napawać się każe.

Lecz uczy wznosić dla Bóstwa ołtarze
I jego oddychać chwałą.

Po szczeblach stopniowych przemian,
Na idealnej podnosząc się zorzy,
Zwycięzka miłość dla ziemian
Najśłodsze dary swe mnoży:
W stubarwne mieniąc się blaski,
Cierpiącej, znękaney rzeszy,
Litości, pociechy, łaski,
Promienie rozsyłać spieszy.
Z pod stóp jej wszystkie uczucia wykwitną,
Zdobiać owiane jej tchnieniem istoty;
I poryw serca staje się już szczytną
Miłością prawdy i cnoty.

Świat się zaludnia powoli
Orszakiem czystych, szlachetnych postaci,
Co cudzej służą niedoli,
Dla szczęścia pracują braci.
Synowie światła i chwały,
Jasne półbogi się wznoszą,
Którym kochanką świat cały,
A poświęcenie rozkoszą.
I idą własną ofiarować mękę,
Z wielkiej dla istot cierpiących miłości,
Dobra i prawdy zapalać jutrzeńkę
W ogniu duchowej wolności.



PRZEMINAŁ CZAS

Przeminął czas! przeminął czas
Tęczowej cudów powieści:
Już opustoszał święty las
I czarów w sobie nie mieści.

Już w nim nie mieszka żaden bóg,
Faun płochy ani Driada;
Na skrzyżowaniu ciemnych dróg
Zadne już widmo nie siada.

Zaklęty zamek poszedł w dym,
Postrachu więcej nie szerzy...
I Meluzyna głosem swym
Nie wabi błędnych rycerzy.

Już czarodziejski prysnął krąg:
Serc widzeniami nie pieści;
Wyrwał się nagle z ludzkich rąk
Geniusz cudownych powieści!

* * *

Przeminął czas! przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza,
Zmalały pieśni pośród nas,
I pierś zmalała człowiecza!

Wolności także zamarł śpiew:
Nie ma skrzydlatej husarii,
Co za ojczyznę lała krew,
Padając z imieniem Marii.

A bohaterstwa jasny cud,
Co niegdyś blasków lśnił tęczą,
Dzisiaj wyklina biedny lud,
Zelazną ściśnion obręczą.

Niezrozumiałym już się stał
Oreżny szczęk epopei
Dla znikczemniałych smutnych ciał
Bez męstwa i bez nadziei.

* * *

Przycichła pieśń i kona już,
Nie budząc żadnego echa:
Próżno się czepia zwiedłych róż,
Napróżno w łzach się uśmiecha.

Próżno na grobach w cichą noc
Skarży się smutna i błada:
Straciła dawną swoją moc,
Sercem człowieka nie włada.

On się już wyrzekł złotych mar,
Jasnego zaparł królestwa,
I nieśmiertelny ducha dar
W otchłanie stracił nicestwa.

I runął cały wielki gmach,
Wzniesiony wiarą pokoleń:
Została nędza, niemoc, strach
I ojców spróchniała goleń!

* * *

Lecz błysnie dzień! lecz błysnie dzień,
W którym duch ludzki na nowo
Ożywi zeschnięty życia pień
Girlandą kwiecica różową,

I z prochu, w który dziś się wpł
Na dawnych marzeń ruinie,
Zaczerpnie zapas twórczych sił
I znowu w niebo popłynie.

A ideału jasny kwiat
Z zbutwiałych obrany liści,
Napełni znowu wonią świat,
Zaktwinie pełniej i czyściej.

I żywych natchnień złota nić
Przewiąże prawdy zdobyte:
Co nieśmiertelne, musi żyć,
Choć zmienia kształty zużyte.

* * *

A wtenczas pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży,
I z labiryntu ciemnych snów
Na światło dzienne wybieży.

Rozpostrze tęczę rajskich farb
I nowe jutrznie zapali,
Najczystszy ludzkich natchnień skarb
Na śpiewnej unosząc fali;

I nieśmiertelną życia treść
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wznieść
Za sobą do ideału.

A bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniej,
Gdzie miłość zmaże płamy krwi
I uścisk zwycięży bratni.

NAD PRZEPAŚCIĄ

Z przepaści ciemne widmo wstało ...
I na urwisku stromym
Wędrowca w drodze zatrzymało
Bezkształtnym swym ogromem.

Przyszło go trwożyć groźną mocą,
Co ludzkie serca gnębi,
Unicestwienia głuchą nocą,
Próżnią bezdennej głębi.

I zasłoniwszy błękit, rzecze:

„Nic ciebie nie ocali,
„Z tego rozdroża, o człowiecze,
„Już nie ma wyjścia dalej!

„Próżno na przekór twardym losom
„Zmierzałeś wciąż do szczytu
„I próżno chciałeś kraść niebiosom
„Zagadkę swego bytu.

„Szalona pycha ciebie zwiódła,
„Myślałeś, że bez końca
„Będiesz nieść w górę ludzkie godła,
„Do prawdy zdążać słońca.

„Wiedz, że nie może nikt bezkarnie
„W bezdenną toń spojrzeć ...
„I musisz wszystkie przejść męczarnie,
„I zwiątpić ... i umierać ...

„To światło, z którym dumnie krocysz,
„Na to ci tylko służy,
„Byś ujrzał przepaść, gdzie się stoczysz
„Na końcu swej podróży.

„Tym światłem mar uroczych roje
„Spłoszyłeś na swej drodze,
„Uniosły z sobą szczęście twoje ...
„A za to ja przychodzę.

„Na miejsce jasnej ich gromady,
„Co pierzchła już skrzydlata ...
„Przybywam jako cień zagłady
„I wiecznej nędzy świata“.

A człowiek na to: „Marny cieniu,
„Coś postać wziął olbrzyma,
„Idę ku swemu przeznaczeniu,
„I nic mnie nie zatrzyma.

„Do góry, naprzód, wciąż przez wieki,
„Z tym światłem, co mi dano,
„Muszę w przyszłości kraj daleki
„Za jutrznią biec różaną.

„Muszę zdobywać krok za krokiem,
„Zdążając wiecznie za nią,
„Na stromych ścieżkach walczyć z mrokiem
„I chwiać się nad otchłanią.

„Niejedne widma przychodziły,
„By wieść mnie na bezdroże,
„Niejeden sen mnie wabił miły
„Na kwiatów miękkie łoże.

„Spędziłem wszystkie mary piękne,
„By prościej iść do celu,
„I ciebie teraz się nie zlekne,
„Pośpny kusicielu.

„I ty ustąpić musisz z drogi:
„Zwodnicza twa potęga!
„Po nad nicestwa ciemne progi
„Duch ludzki wyżej sięga!“

PRZODOWNIKOM

Słudzy prawdy i prawdy czciciele,
Kochankowie Izys zasłoniętej!
Wam się godzi wzrok zatapiać śmielem
W ciemnych głębin kuszące odmęty.

Wam, dążącym wciąż do światła, w górę,
Na rozdrożach zabłąkać się wolno,
Schodzić na dół, w przepaści ponure
I pierś krwawić wędrówką mozolną.

Choć się który w podziemia zapuści,
Tracąc z oczu jasny strop błękitu,
Wyjdzie cało z straszliwej czeluści
I podaży znów dalej do szczytu.

Wy możecie zstępować bez trwogi,
Gdzie noc, groza i zwątpienie mieszka,
I piekielne nie zwiodą was bogi,
Bo do światła wiedzie wasza ścieżka.

Lecz gdy macie wieść za sobą tłumy,
Których myśli biegły dotąd nisko,
Nie szukajcie w tym dla siebie dumy,
Ze umiecie kroczyć przez urwisko.

Nie prowadźcie na spadziste tory,
Gdzie się czasem nawet mężczy chwieją,
A gdzie lud ten zmęczony i chory,
Raz na zawsze żegna się z nadzieją;

Nie wskazujcie tej bezdennej próżni,
Po nad którą stopa się zawiesza ...
Jej widoku nie zniosą podróżni
I nie zdoła przejść bezkarnie rzesza.

Więc, jak dobrzy czynią przewodnicy,
Grunt im twardy ukażcie pod nogą
I oparcie dla trwożnej żrenicy,
Aby w drodze nie zgubić nikogo!

PRZED JUTREM

Trudo bez żalu patrzeć na zagładę
Dawnych form bytu, do których przywykły
Oczy i serca, tak zatrzymać radę
Na fali czasu cień przeszłości nikły.

Trudno nie boleć, widząc, jak zamiera
To, z czym za młodu byliśmy związani ...
Jak naszych uczuć, naszych dążeń sfera
Powoli w ciemnej nurza się otchłani.

Lecz boleść nasza z dniem się kończy naszym
I pośród świata długo nie zagości,
I rozpaczliwą skargą nie odstraszym
Triumfalnego pochodu przyszłości.

Przyszłość ma prawa silniejsze i przed nią
Ustąpić musi teraźniejszość zwiędła,
Chociaż chce chwilę przedłużyć poprzednią
I trwać w postaci, w jaką się oprędła.

Próżno się czepia obumarłych tkanek
I w nich kształt przyszły więzić się wysila:
Z martwej powłoki w nowy życia ranek
Przyszłość na skrzydłach wyleci motyla.

Świat zrzucić korę zbutwiałą pospiesza,
Bo ją rozsadza młoda, silna zieleń;
Nienarodzonych niezliczona rzesza
Z niecierpliwością czeka chwili wcieleń.

Nowe uczucia, myśli, ideały,
Nowe kierunki, nowe formy istnień
Cwiartują łona, co je zrodzić miały,
Aby przyspieszyć dzień urzeczywistnień.

Ci, którzy patrzą na dzisiejszy przełom
Pod nowych haseł i dążeń wiodzą,
Muszą zlorzeczyć bezlitośnym dziełom,
Którymi dzieci w pierś macierzy godzą.

Musi ich trwożyć ten szalony zamach,
Który pozornie zrywa wszystkie węzły
I w zacieśnionych nie mieści się ramach
Pojęć, co w martwym zastoju uwięzły.

A przecież cała ta burzliwa siła
To zawsze tylko ciąg przeszłości dalszy:
W jej łonie dawno, jako zaród, tkwiła,
Pragnąc osiągnąć rozwój doskonalszy.

Więc choć się zwraca przeciw swej macierzy
I straszy ojców swym potwornym licem,
Do pnia wspólnego pokoleń należy
I dawnych prądów prawym jest dziedzicem.

Gdy się na światło dobędzie z ukrycia,
Spadnie z niej kształtów pierwotnych ohyda
I pojednana z warunkami życia
Świeża latorośl świeże kwiaty wyda.

I to, nad czego boleliśmy stratą,
Znów odświeżonym zajaśnieje bytem,
Łącząc przeszłości spuściznę bogatą
Z nowych porywów młodzieńczym rozkwitem.

SONET

Smutni rycerze przeżytej już chwili
Patrzą z boleścią, kiedy zastęp świeży,
Przeciw ołtarzom, które oni czcili
Zwraca się zbrojnie i kruszyć je bieży.

Napróżno serce tych dawnych rycerzy
Oprzeć się trwodze i zwątpieniu sili...
Gdyż widzą tylko to, co w gruzach leży,
I myślą tylko o tym, co stracili!

Poza walk dzikich zamętem i wrzawą,
Poza konaniem świata, co już ginie,
Nie mogą dojrzeć przeszłości obrońce

Tych, co dni nowych stawiają świątynie;
Ani nie wiedzą, patrząc w jutrznię krwawą,
Czy to pożarów łuna, czy też słońce.

*)

Smutni synowie przebrzmiałej już chwili
Patrzą z boleścią, jak znów żywioł świeży
Przeciwko bóstwom, które oni czcili,
Zwraca się zbrojnie i kruszyć je bieży.

Napróżno serce tych dawnych rycerzy
Oprzeć się smutkom i zwątpieniu sili;
Bo widzą tylko to, co w gruzach leży,
I czują tylko to, co utracili.

Trudno im dojrzeć wśród zgiełku i szale,
Ze ta grożąca ich świętościom burza
Oczyszcza z pleśni ołtarzów podnóża;

Ze z każdym ciosem, co spada, pomалу
Twarz bóstwa jaśniej z cienia się wynurza
I doskonałą kształty ideału.

*) Jest to druga redakcja tego samego sonetu
(z poprzedniej strony).

MIEJMY NADZIEJĘ!

Miejmy nadzieję! ... nie tę lichą, marną,
Co rdzeń spróchniały w wątły kwiat ubiera,
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

Miejmy nadzieję! ... nie tę chciwą złudzeń,
Ślepego szczęścia płochą zalotnicę,
Lecz tę, co w grobach czeka dnia przebudzeń,
I przechowuje oręż i przyłbicę.

Miejmy odwagę! ... nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwym przedsięwzięciu pryska,
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.

Miejmy odwagę! ... nie tę tchnącą szaleń,
Która naoślep leci bez oręża,
Lecz tę, co sama niezdobytym waleń
Przeciwnie losy stałością zwycięża.

Miejmy pogardę dla wrzekomej sławy,
I dla bezprawia potęgi zwodniczej,
Lecz się nie strójmy w płaszcz męczeństwa
[krwawy,
I nie brząkajmy w łańcuch niewolniczy.

Miejmy pogardę dla pychy zwycięskiej,
I przyklaskiwać przemocy nie idźmy!
Ale nie wielbmy poniesionej klęski,
I ze słabości swojej się nie szczyćmy.

Przestańmy własną pieścić się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić:
Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić...

Lecz nie przestajmy czcić świętości swoje,
I przechowywać ideałów czystość:
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość.

MARNOTRAWCOM

Niech nikt sił własnych nadto nie przecenia,
Ani też nadto w swą szlachetność wierzy:
Trzeba się liczyć z czynem poświęcenia
I marnotrawić serca nie należy.

Kto dobrowolnie lepsze swe natchnienia
Wyda na pastwę przechodniów grabieży,
Temu zabraknąć może sił zasobu,
Aby z godnością dojść później do grobu.

CHÓR OCEANID

O, nieustanny wszech żywiołów sporze,
Nieskończoności wstrząsający morze
Prądami wciąż się ścierających sił:
Olbrzymia walko, co trwając bez końca,
Zapalaszczy jedno nad drugimi słońca,
I w ruch wprowadzasz wszechświatowy pył!

Tyś jest wyrazem twórczej myśli bożej,
Która przez ciebie ożywia i tworzy
I dzierży wieczny nad światami rząd;
Ty jesteś prawem powszechnym istnienia,
Które wciąż światów powierzchnię odmienia
I toczy naprzód rwący życia prąd.

Ty wszystkie wrogie potęgi i władze
W żywej wszechświata trzymasz równowagę
I gwiazd krążących obejmujesz ster;
Ty z sprzecznych dążeń i kierunków wielu
Wytwarzasz jedność działania i celu,
Harmonię wszystkich wojujących sfer.

Wszędzie dokoła, gdzie tylko drga życie,
W bezbrzeżnych głębiach, w gwiazdzistym błę-
[kicie,

Na ziemi, niebie, w ciemnym łonie mórz,
W tajniach natury i w dziedzinie ducha,
Zacięta walka ogniami wybucha,
W zniszczeniu siejąc światło nowych zórz.

Na fali wiecznie zmiennej i ruchomej
Wszystkie z nicestwa dobyte atomy
W ciągłych przewrotach o byt walczą swój;
I żywych istot rozmnożone plemię
Zdobywa sobie i wydziera ziemię,
I bogi wiodą na błękitach bój!

ODPOWIEDZ PRZESZŁOŚCI

Czasem, gdy smutny o przeszłości marzę,
Ona przede mną staje jak w obrazku:
Widzę pogodne greckich mężów twarze
Od wewnętrznego jaśniejące blasku
I widzę młodzież, jak w wesołym gwarze,
Wśród mirtowego mocuje się lasku,
I widzę starców uśmiech, który leci
Zadowolniony do niebios i dzieci.

Wszędzie źródło życia jasnym nurtem płynie
I harmonijnie dla ucha szeleści;
Tyle piękności w tej cudnej krainie,
Tyle rozkoszy i szczęścia się mieści,
Tyle odwagi w każdym ludzkim czynie
I tyle nawet spokoju w boleści! . . .
Każdy wesoło w błękity spoziera,
Bez skargi żyje, bez jęku umiera.

Młodość, tak w siłę i powab obfita,
Nieśmiertelnością z bóstwami się dzieli;
Poezja życia pięknnością zakwita
W melodiach pieśni i posągów bieli;

I starość nawet, choć dni swoich syta,
Wieczornym blaskiem jeszcze się weseli,
Przez marmurowe portyków kolumny,
Nowych zwycięzców śledząc pochód dumny.

Każdy znajduje szczęście, choć nie szuka,
I słodkim wdziękiem życia się napawa:
Mędrcom nie chmurzy czoła ich nauka,
I bohaterom nie ciąży ich sława;
A choć niedola do grobów zapuka,
Choć na kraj spadnie jaka klęska krwawa —
Nikt nie narzeka, lecz wszyscy się zbroją,
Idąc z pogodą pełnić służbę swoją.

Więc gdy porównam tę słoneczność ducha,
Z jaką przez ziemię niegdyś szli szczęśliwi,
Do nocy, która otacza nas głucha,
Do tej goryczy, co nam usta krzywi
I z serca krzykiem rozpaczy wybucha:
Ta nagła zmiana straszy mnie i dziwi,
I nie wiem, czemu teraz mrok osłania
Ziemskich jutrzeń promienie świtania?

Nie wiem, dlaczego ludzie tak się chwieją
I przeklinają dzień istnienia krótki?
Czemu nie żyją przyszłości nadzieją,
Lecz snują z siebie samolubne smutki?
Nie wiem, gdzie z wieków minionych koleją
Pierzchły szlachetne do życia pobudki?
Gdzie się podziały życiodajne źródła,
W których świat dawny czerpał siły swoje?

Zniknione przeto przywołuję cienie,
By powiedziały: w czym ich tajemnica?
Skąd brały swoje ożywcze promienie
I uśmiech, który przystrajał im lica?
Gdzie kupowały i po jakiej cenie
Szlachetny spokój, który nas zachwyca?
A tak pytając, gdy ucho wyteżę,
Słyszę odpowiedź, co ślą greckie meze.

„Za naszych czasów — powiadają oni —
Nie samą także rozkosz niosło życie;
Lecz nikt nie zdążał w namiętnej pogoni
Za marą szczęścia, wypieszczoną skrycie,
Nikt samolubnej nie wyciągał dłoni,
Ani się w własnym nie zasklepiał bycie;
Każdy dla drugich żył, a w dumie męskiej
Miał swoją tarczę na ciosy i klęski.

„Życie człowieka wówczas się zlewało
Z życiem narodu w jeden silny związek,
I pnia swojego wielkością i chwałą
Zywił się zawsze splot świeżych gałązek;
Dla wszystkich dobro powszechne jaśniało,
Wszystkim do szczęścia starczył obowiązek;
Los osobisty rzeczą był podrzędną:
Każdy o wieńcach myślał, co nie wiedną.

„Każdy krąg swego istnienia rozszerzył,
Zyjąc w swych ojcach i braciach i synach,
I całe dzieje swej ojczyzny przeżył
W nowych nadziejach i spełnionych czynach,

I w nieśmiertelność swojej pracy wierzył:
W myśl kielkującą wiecznie na ruinach,
Co w doskonalszej wschodząc wciąż postaci,
Za trudy ojców potomnym zapłaci.

„Tak szliśmy wiedząc, gdzie dążym i po co,
Z obróconymi do świata oczami,
Tęczowe blaski, co dzień życia złocą
W wieczne piękności przerabiając sami;
Te dziś nad grobu tajemniczą nocą
Z rozwiniętymi wzlatują skrzydłami
I wyraz naszej pogody i siły
W kształcie posągów jasnych uwieczniły“.

BOSTWO TAJEMNICZE

*Jarosławowi Wrchlickiemu
na pamiątkę*

autor:

Na chmurnym szczycie góry
Kamienne jest oblicze;
Świątyni kryją mury
To bóstwo tajemnicze.

Składają mu ofiary
Zastępy wiernych sług;
Przez dym kadzideł szary
Pocerniał stary bóg.

Twarz jego skryta w cieniu,
Przyćmiona wieków pieśnią;
I stoi tak w milczeniu,
Wielbiony ludu pieśnią.

Aż nagle... tłum zdziczały
Pożogę wpada nieść,
Chce burzyć ołtarz chwały,
Niweczyć dawną cześć.

Są już w świątyni progu
I łamią wszelki opór,
Grożą staremu bogu,
Wstrząsając młot i topór.

Kapłani wznoszą dłonie,
W ich sercach ból i gniew:
W świętości swych obronie
Gotowi przelać krew;

I modły ślą: „O Panie,
Swej mocy pokaż cud,
Błaznierców strąć w otchłanie,
Niewierny ukarż lud!“

I biorą oręż w ręce...
Wtem bóstwo na głos rzecze:
„Ja dziś mój triumf święcę,
Więc wy schowajcie miecze!

„Nie trzeba mi obrony,
Ani cudownych sił:
Niech burzy tłum szalony
Tę postać, którą czcił.

„Ja pomsty nad winnymi
Nie daję w dłoń nikomu,
Nie chcę pomocy ziemi,
I nie chcę niebios gromu.

„Niech wznoszą swoje młoty,
Rzeźbiony krusząc kształt,
Gdyż boskiej mej istoty
Nie zniszczy żaden gwałt.

„W minionych wieków ciągu
Nieraz już ludu złość
Mściła się na posagu:
Cierpiałem gwałtów dość.

„I nieraz dzikie zgraje
Wydały mnie pożodze,
A zawsze większy wstaję,
Piękniejszy z ruin wschodzę.

„Mnie topór nie powali,
Chociaż rozbija głaz,
Lecz kształt mój doskonali
Każdy zadany raz.

„Zniszczenie mnie odmładza
I ogień mnie oczyszcza;
Padając, moja władza
Wyrasta silniej z zgliszcza.

„I zgina znów kolana
Przede mną cały lud:
A ciągła ta przemiana —
To mój największy cud“.

NA ZGON POEZJI

Nie! nie umarła, jak to próżno głoszą,
Ta jasných krain pani i królowa,
Co serca ludzkie napawa rozkoszą;
Zaden ją grabarz pod ziemię nie schowa,
Nie stłumi natchnień, które pierś jej wznoszą,
Nie skazi wdzięku cudownego słowa,
Bo nim ją w piasku mogilnym pogrzebie,
Już z nową jutrznią zabłyśnie na niebie.

Ci, którzy mówią ciągle o jej zgonie,
Czyliż nie wiedzą, że ma żywot wieczny
W piersiach ludzkości i w natury łonie,
Ze się odnawia w jasności słonecznej,
W ogniu młodości, co wieczyście płonie,
I czarodziejsko w jeden węzeł splata
Marzenia ludzi z pięknościami świata.

Czyliż nie wiedzą, że ma żywot wieczny
Rozlaną w całej błękitów przestrzeni,
Ze ciemnych jaskiń przenika krawędzie,
I świeżym liściem w gruzach się zieleni;

A choć zużyte porzuci narzędzie,
Choć dawne swoje koryto odmieni,
To w nowych myślach, uczuciach lub czynie,
Naprzód z wezbranym prądem życia płynie.

Na cóż więc trwoga o jej przyszłe losy?
Czyliż zabraknie wiosennych błękitów?
Czyliż zabraknie łez ożywczej rosy,
Snów bohaterskich, miłosnych zachwyków?
Czyliż ucichną tajemnicze głosy
Stłumionych pragnień i rozpachy zgrzyków?
I czyliż wszystko w nicość się rozwieje,
Co żywi całych pokoleń nadzieje?

Nie! nic nie zginie z uczuć przedży złotej,
Choć wzór powolnej ulegnie przemianie:
Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty
Wzbijać się będą nad ciemne otchłanie;
Zawsze te same słowicze tęsknoty,
I żądza szczęścia ta sama zostanie,
I sercom ludzkim śpiewną da wymowę:
Dźwięki tak znane, a tak wiecznie nowe.

Niewczesne wasze żale, o wrózkowie,
Co nieśmiertelnej śmierci wróżycie pewną;
Ona się w martwym nie zamyka słowie,
Nie jest zaklętą w marmur ani w drewno,
Lecz ma sklepienia niebios za wezgielowie,
A na usługi sfer harmonię śpiewną,
I rządzi z góry sercem niewolnika:
Jak chce zstępuje, i kiedy chce znika.

Ona żyć będzie, choć jej oddźwięk zgłuchnie
W lutniach śpiewaków i sercach słuchaczy;
Ona w grobowym przechowa się próchnie,
Przetrwa mrok zwątpień i burzę rozpaczy,
I świeżym ogniem w przyszłości wybuchnie,
I znowu świat ją schodzącą zobaczy
Biorącą berło, by rządzić wszechwładnie,
I znów z miłością do nóg jej upadnie.

Ta trumna, którą do grobu składacie,
Zawiera tylko kształt jej już przeżyty:
Uwędłe kwiaty na jej ślubnej szacie,
Woń znikającą, lutni dźwięk rozbity.
Wolno wam płakać po kochanki stracie,
Co w was młodsze budziła zachwyty,
Ale nie wolno orzekać, że ona
Dla serca ludzi na zawsze stracona.

Wy się nie troszczcie o nią, o wróżbici!
Bo ona w piasku mogilnym nie leży,
Lecz dawnych marzeń potargane nici
Przerabia w ciszy na strój inny, świeży,
W którym znów serca stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.
Nie płaczcie nad nią: bo ona w obłoku
Na chwilę tylko uszła ludzi wzroku.

CZARODZIEJKA

Z wdziękiem wiosny nieśmiertelnym,
W jutrenkowym blasku szat,
Wraz z orszakiem swym weselnym,
Czarodziejka idzie w świat:
Z uwieńczoną biegnie skronią,
Z śpiewem ptasząt, z kwiatów wonią.

Przed nią sylfów jasna rzesza,
Swoją weselną nucąc chór,
Na obłokach tęcze wiesza,
I otrząsa rosę z piór,
I obwieszcza jej przybycie:
Świeżą rozkosz, nowe życie.

Świat zakwita cały przed nią
I różowy bierze blask,
Płonie szczęścia przepowiednią,
Pożądaniem słodkich łask.
Wszystko wschodzi, wszystko rośnie,
Pod jej stopą drżąc radośnie.

Ona z twarzą uśmiechniętą,
Coraz nowych gości zwie
Na weselne życia święto,
Na godowe krótkie dnie.
I z złotego swego lejka
Słodycz sączy czarodziejka.

Wiecznie piękna, wiecznie młoda,
Biesiadników poi krąg,
Ledwie komu czarę poda,
Już ją wyrwie z chciwych rąk
I unosi z sobą dalej,
Na świetlanej biegnąc fali.

Próżno za nią skargi gonia,
Próżno westchnień płynie szmer:
Ona z śpiewem, blaskiem, wonią,
Już do innych zdąża sfer,
Zawiedzionym, co się skarżą,
Z uśmiechniętą mówiąc twarzą:

„Czyż sądzicie, że wy jedni,
Macie zgarnąć cały dział,
Waszym żądom odpowiedni,
I nasycić pragnień szal?
Ze wam jednym tylko służę,
Niosąc życia miód i róże?

„Czyż sądzicie, że mnie wiele
Obejść może ludzki los?
Ja natury spełniam cele,

Nie zważając na wasz głos;
Nikt nie wstrzyma mnie na drodze,
Jak przybyłam, tak odchodzę.

„Muszę naprzód iść bezwzględnie,
Wszystkim nowy wieścić dzień:
Co zakwitło, niechaj zwiędnie,
Niech opada w mrok i cień,
Ustupując miejsca nowym
Pączkom wonnym a różowym.

„Korzystając zatem z chwili,
W której napój niosę wam...
Kto raz czarę mą wychyli,
Co w niej znajdzie — mało dbam;
Czy się cieszy, czy się żali,
Niewzruszona idę dalej.

„Nie mam czasu tych żałować,
Co przeżyli porę swą:
Inne usta chcą całować,
Inne serca kochać chcą;
Przyszłość świata, niecierpliwa,
Głośnym krzykiem mnie przyzywa!“

TANTAL

Niegdyś w pragnienia wieczystego męce,
Na wskroś palony żary piekielnymi,
Naprawdę swoje wyciągałem ręce
Po owoc, który uciekał przed nimi,
I próżno usta swe na fali kładłem,
Goniąc za wiecznie kłamliwym widziadłem.

We mnie i za mną wrzało całe piekło,
Na pastwę mękom wydając mnie nowym;
Pierś moją bowiem trawioną i spiekłą,
Erynie biczem krwawiły węzowym,
I urągały mi te mściwe duchy,
Patrząc na mojej wściekłości wybuchy.

A ja naówczas ciągle pożerany
Żądzami, które w nieskończoność rosły,
Byłem jak ogniem ziejące wulkany,
Na przekór losom groźny i wyniosły,
I jakaś wielka, tytaniczna siła
W wnętrzościach moich skrzepowana tkwiła.

Więc choć bóstw łaski wzywałem w mej kaźni,
To prośba moja do podziemnych grzmotów
Była podobną; i sam bez bojaźni,
Przeciw ich woli stanąć byłem gotów;
Bom czuł, że w gniewnej ducha zawierusze
I więzy moje i świat cały skruszę.

Teraz bogowie próśb mych wysłuchali,
I mąk wieczystych zdjęli ciężar ze mnie:
Pierś się już moja płomieniem nie pali
I nie pożadam niczego daremnie,
I nic nie pragnę, za niczym nie gonię,
Lecz obojętnie patrzę w wieków tonie.

Dzisiaj piekielne mnie się nie śnią rzeczy,
Z moich udręczeń nikt się nie natrząsa;
Głos Eumenid już mi nie złorzeczy,
I bicz węzowy serca mi nie kasa:
Ucichły jęki, zagasły płomienie,
I martwe tylko nastało milczenie.
A oto w takim odrętwieniu głuchym,
W którym mnie żadna boleść nie dosięga,
Wraz z żądz straconych burzą i rozruchem
Cała się moja rozpierzchnęła potęga,
I dziś minionych męczarni żałuję,
Gdyż się nędzniejszym, niżli przedtem czuję.

Wróćcie mi zatem, nieśmiertelne bogi,
Grozę mych piekieł i straszliwe kary!
Wróćcie mi widok Erynii złowrogi
I niezgaszone pragnienia pożary!
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech pragnie, cierpi, lecz niechaj wybucha!

EPAMINONDAS

W chwili zwycięstwa, wśród walczących tłoku,
Żelazny grot utkwiał w jego boku,
I przeszył pierś i pozostał w ranie.
Na tarcze swe wzięli go Tebanie
I do namiotu zanieśli. Obficie
Krew uchodziła, a z nią razem życie.
Wódz podniósł głowę i na orszak zbrojny
Badawczo wzrok zwrócił niespokojny.
Trwoży go boleść na twarzach wyryta!
„Czy ustał bój? — niecierpliwie pyta —
„Czy z rąk nam pewne zwycięstwo wydarto?“
Odrzekli: „Wszystko skończone ze Spartą,
I nadal jej dziś zwycięskie Teby
Nie będą miały lękać się potrzeby“.
„Skądże więc żal w waszych sercach gości,
Zamiast triumfu dumy i radości?“
A na to w głos rzekną mu rycerze:
„Najszlachetniejszą los nam zdobycz bierze,
Gdyż żywot twój, tak ojczyźnie drogi,
Uciekające zabrały nam wrogi.
I szkoda nam twych dni pełnych chwały,
Pod których tarczą Teby zwyciężały,

I smutno nam, że tak bez potomków,
Którym-bys sławę przekazał wśród ziomków,
Odpywać masz na posępnej łodzi.
Wszak cenić życie wszystkim nam się godzi?“
„I ja też cenię — z dumą wódz odpowie —
Ow życia dar, który nam bogowie
Zsyłają na to, by wśród przeszkód wielu,
Wytknąwszy cel, prosto iść do celu
I zbierać słodycz po drodze rozlaną
I jasność niebios podziwiać różaną.
Jam ten dar cenil; bo kto w swojej dumie
Pogardza nim, pewnie ten nie umie
Żyć i umierać. Lecz dlatego właśnie,
Zem cenil życie, teraz, kiedy gaśnie,
Bez żalu mogę rzucać jasność słońca,
Widząc je czyste i piękne do końca.
Ginać w sam czas, wśród walki zwycięskiej,
To najpiękniejszy koniec pracy męskiej;
I bardzo mnie obdarzyły nieba,
Dając i żywot i zgon, jaki trzeba.
Pięknie mi przeszedł cały wiek młodzieńczy,
A teraz jeszcze najpiękniej go wieńczy
Chwalebna śmierć, która pracownika
Strudzone oczy pod wieczór zamyka.
Nie schodzę przytem z świata bezpotomnie;
Mam córki dwie; te zostaną po mnie:
Leuktra jedną, Mantinea drugą.
Te będą żyć po mym zgonie długo“.

II.

Patriotyczno-religijne

PRZYCHODZISZ DO MNIE..

Przychodzisz do mnie, nie mówisz nic,
Lecz ukazujesz swe rany,
Śmiertelną bladość zmartwiałych lic
I całun krwią twą zbryzgany!

Zatapiasz we mnie żalosny wzrok,
Co w pierś mi wbija swe ostrze,
Aż grozę śmierci, nicestwa mrok
Nade mną wkoło rozpostrze.

W duszę mi spływa rozpacz i wstyd
I cała konania męka...
I potępieńców ściga mnie zgrzyt...
I serce z bólu mi pęka!

W ALBUMIE

Nie pytaj próżno o przyszłe losy,
Nie pytaj!
Lecz otwórz ducha pogodne oczy
Na wszystko piękne, co cię otoczy,
W promieniach słońca i w kropkach rosy
Zakwitaj!

Nie żdzieraj szczęścia urojeń wiotkich,
Nie żdzieraj!
Ani nie badaj nazbyt oględnie:
Czy ten kwiat wonny w ręku ci zwiędnie?
Lecz, póki pora, z kielichów słodkich
Miód zbieraj!

Przechowuj w sercu szlachetną marę,
Przechowuj!
I żyj miłością swego narodu...
A w chwilach smutku, w chwilach zawodu,
O idealną oprzyj się wiarę,
Jak powój.

PIERWIOSNKI

Dziewczę pierwiosnki zbierało,
Wesołe piosnki śpiewało,
A głos jej płynął po rosie
W dalekim ginał rozgłosie.

Śpiewała o młodym maju,
Co się przechadza po gaju;
Jak zima przed nim ucieka,
A on jej grozi z daleka,
Rozrzuca jasność i kwiecie
I tak króluje na świecie.
Śpiewała o tej młodzieży,
Co się dziś bawi w żołnierzy;
Jak ją widziała po błoni
Przelatującą na koniu;
Za co się bije, to nie wie,
Lecz dobrze życzy jej w śpiewie;
A dalej o Matce Boskiej,
Co się zjawiała wśród wioski,
I ludek ciemny poucza,
Co mu najbardziej dokucza,

I kto dla niego jest wrogiem,
I kto odpowie przed Bogiem.
Śpiewała dalej, że z czasem,
Stanie lud cały pod lasem
I pożałuje te dziatki,
Co giną, jak ścięte kwiatki,
Jako pierwiosnki narodu
Zawczasie zesze wśród lodu;
Lecz przecie śniegi roztają,
Sioła się kwieciami umają,
I lud jak ze snu zbudzony
Stanie dla kraju obrony
I w wielką zebrany chmarę,
Pociągnie za kraj i wiarę.

Kiedy tak śpiewa, z za krzaków
Wypada sotnia kozaków,
I woła oficer dziki:
„Dziewczyno, gdzie buntownicy?
Pokaż nam drogę dziewczyno,
Niech te psy marnie wyginą!”
„Bóg cię ukarze, Moskalu —
Odpowie dziewczyna w żalu —
„Ze na krew ludzką tak chciwy
„Krwia zlewasz spokojne niwy,
„I smutne kładziesz pokosy
„Zabitych na leśne wrzosi...
„Ja nie wiem, co to za jedni,
„Lecz znałam w wiosce sąsiedniej
„Matki okryte żałobą,
„Więc ich nie zdradzę przed tobą.“

Słyszac to, starszy z siepaczy
Dobyl janczarki kozaczey
I kulę posłał jej zdala
Odpowiedz godną Moskala.

A twarz dziewczyny pobladła,
U stóp leszczyny upadła,
Krwia się pierwiosnki oblały,
Na ustach piosnki skonały.

GAŁĄZKA JASMINU

Tam, pod niebem południa palącym,
Szło ich dwoje pod mirtów alei,
Słów namiętnych rzucając tysiącem;
Lecz nie było tam słowa nadziei.
Pożegnanie ostatnie na wieki...
To trwa długo... i wstał księżyc blady,
A westchnienia powtarzał daleki
Szum płaczącej kaskady.

Obcy młodzian opuszczał dziewczynę,
Co jak powój w jego serce wrosła,
I porzucił słoneczną krainę,
Lecąc na śmierć, gdzie rozpacz go niosła.
Więc targając serdeczne ogniwa
Czuł, że serce z swej piersi wydzierają,
I że młodość ta jasna, szczęśliwa,
W jej uścisku umiera.

Biedne dziewczę zrozumieć nie zdoła,
Ze jest wyższa nad miłość potęga,
Ze głos smutny, głos grobów anioła,
W jej objęciach go jeszcze dosięga,

Więc się skarży jak dziecię pieszczone:
— „O, niedobry, jak mnie możesz smucić!
„Twoje słowa mnie ranią szalone,
„Nie mów, że chcesz mnie rzucić!

„Cóż mieć możesz na ziemi droższego
„Nad mą miłość?... Gdy ta cię nie wstrzyma —
„Idź“... Tu głosu zabrakło drżącego
I spojrzała smutnymi oczyma:
— „Patrz, me serce omdlewa mi w łonie,
„Łez mi braknie i w oczach mi ciemno...
„Masz tam ginąć w dalekiej stronie,
„To umrzyj razem ze mną!

„Tak, o dobrze! Nie będę po tobie
„Więcej płakać, ni gorzko się smucić,
„Ale razem w jednym spoczniem grobie,
„I nie będziesz już mnie mógł porzucić;
„Wieczność całą prześnimy tak błogo,
„I przebaczy nam Bóg miłosierny!...
„Ja prócz ciebie nie mam tu nikogo,
„A ty idziesz niewierny?

„Nie chcesz umrzeć i nie chcesz żyć razem?...
„Idź szczęśliwy! Twa kochanka biedna
„Przed cudownej Madonny obrazem
„Szczęście tobie u Boga wyjedna.
„Teraz jeszcze mej prośbie serdecznej
„Uczyń zadość, bo cierpię ogromnie,
„Gdy pomyślę, że w rozłące wiecznej
„Możesz zapomnieć o mnie.

„Tyś tak lubił wonny kwiat jaśminu,
„Ja go odtąd na mym sercu noszę“ ...
I odpięła chusteczkę z muślinu
Mówiąc dalej: „Weź gałązkę, proszę,
„A ta druga na sercu zostanie,
„Mówić będzie o tobie, jedyny!
„Gdy nie przyjdiesz na moje wołanie,
„Łzą się zroszą jaśminy ...“

I oparta na jego ramieniu,
Wpół zemdlona kwiaty do ust ciśnie
I tak stoją oboje w płomieniu,
I ust dwoje na kwiatach zawiśnie,
Aż nareszcie wydarł się z objęcia
I rzekł do niej: — „O, żegnaj mi drogą!
„Gdy mię twoje nie zbawią zaklęcia,
„Spotkamy się u Boga!

„Ja nie mogę pozostać przy tobie,
„Choć twój jestem na wieki, dziewczyno!
„Bo mnie duchy wzywają w żalobie,
„Bym szedł z tymi, co marnie dziś giną.
„Słyszę okrzyk z krwawego zagonu,
„Słyszę matkę wołającą: Synu!
„Lecz zachowam, zachowam do zgonu
„Tę gałązkę jaśminu ...“

PODROŻNI

Przez włoskie wille nad morzem wiszące,
Ciągniemy, rzesze senne i cierpiące,
Trochę tu niebios zaczerpnąć i morza,
Gdy nam przybrało ojczystego brzegu,
I skargi rzucać w gwiaździste przestworza,
Szukając w gajach oliwnych noclegu.
Gdzie w ciemne groty szafiry się leją,
Niebieskim światłem olśniewać podziemie,
Gdzie burze przerwać milczenie nie śmieją,
I tylko ptactwo zabłąkane drzemie,
Przyszliśmy, grubą odziani żałobą,
Zadrościć ciszy tym błękitnym grobom.
Gdzie góry biegną nad zwierciadłem fali,
Kąpać się w blasków różowych pogodzie,
Tuśmy wygnańcy ojczyzny wołali,
Na pełne morze odbijając łodzie,
A płynąc myślą w mgły przyszłości czarne,
Rwali cyprysy i róże cmentarne.
Witajcie! płynne otchłanie, swym szumem
Dokończcie dźwięków wydartych westchnie-
[niem;

Wszak w nieskończoność toniem? wraz z tym
[tłumem

Mar zatraconych za zgasłym promieniem,
A nieświadomi wybrzeża, gdzie stanem,
Spocznem, za nowym czekając świtanem.

W ZATOCE BAJA

Cicho płynmy, jak duchy,
Białe żagle rozwiążmy;
Toń tak głucha, milcząca,
Fala o brzeg nie trąca,
Więc utajmy namiętne wybuchy,
I wzrok łzawy w ciemności pogrążmy.

Dzień już zapadł w otchłanie
I w posępnej pomroce,
Jako cienie przelotne
Pijmy rosy wilgotne,
Po srebrzystej ślizgając się pianie,
W tej przeszłością szumiącej zatoce.

Tu przed nami się czerni
Stary cmentarz dziejowy,
Gdzie ruiny dokoła
Spia pod skrzydłem anioła;
Tu przystaniem grobowców odźwierni
I pochylił ciężące już głowy.

Może echa, co drzemią
W długich kolumn krużganku,
I marzenia, co legły,
Nim swej mety dobiegły,
Naszym przyjściem zbudzone pod ziemią
Dopowiedzą historii poranku.

Pośród wonnych jałowców
Dumające widziadła,
Szepcą między zwaliska
Zapomniane nazwiska...
Pewnie przyjmą gościnnie wędrowców,
Nad którymi już przeszłość zapadła.

W Serapisa kościele
Złożmy Lary rodzinne,
Może z nawy strzaskanej
Wyjdą słońca kapłany
Pytać się nas, co robim w popiele?
I czy słońce nie świeci nam inne?

A Kumejska Sybilla
Skryta w głębi pieczary,
Nad trójnogiem schylona
Krzyknie przez sen zdziwiona:
Czy się zjawiał znów jaki Atylla?
Czy to tylko mordują Cezary?...

Przed prostylem Diana
Trzyma księżyc nad głową,
Gdy nas ujrzy, pomyśli,

Ze Niobidy tu przyszedł,
I po łuk swój pobiegnie, zmieszana
Tą kamiennej boleści wymową.

A pierzchając przez łomy
W liść rzeźbione akantów,
Będzie mniemać, że zdala
Stoi córka Tantala,
I w nią wlepia swój wzrok nieruchomy,
Przesłonięty potokiem brylantów.

Wróc się blada Hekatel
Bo ruina się skarży;
Fryz ,odarty z ozdoby,
Patrzy pełen żaloby;
Nie przyszliśmy po krwi swej zapłatę,
Ani chcemy zakłócać cmentarzy.

Zejdź więc, gwiazdo Erebu,
Tulić dalej straszydła;
Już piekielnych psów wycie
Głosi nasze przybycie;
My z własnego wracamy pogrzebu,
I pod twoje chronimy się skrzydła.

Rzuć ostatnie promienie
Nam na drogę podziemną;
Może za tym wybrzeżem
Acheronu, dostrzeżem
Naszych braci błądzące już cienie
I żalące się niebu, że ciemno!

PIJĄC FALERNO

Dosyć łez, po co te smutki?
Czas się nareszcie rozchmurzyć,
Poranek życia tak krótki,
Trzeba go użyć.

Szczerością pewnie się zgubię,
Mimo to będę otwarty:
Dawniej kochałem... dziś lubię
Życie na żarty.

Com kochał?... razem z miłością
Pamięć rzuciłem za okno,
A resztki wspomnień z radością
W kieliszku mokną.

Jeśli to miłość dziewczyny,
Więc, by ukarać niewierną,
Usiadłem na łonie Fryny,
Pijąc Falerno.

Jeśli to... lecz daj mi pokój
Z bezpłodną ojcowizną schedą,
Lepiej ty, Fryne, prorokuj
Bachiczne Credo.

Rozkoszy stawmy ołtarze,
Pijacką miejmy beczelność,
A może znajdziemy w czarze
I nieśmiertelność.

Zdziwim się, a przy wdzięczności
W piwnice pójdziemy rajskie,
Wybierać z beczek wieczności
Wina tokajskie.

Tymczasem do wniebowzięcia
Sposobiąc żądzę niezmierną,
W twoje się chylę objęcia,
Pijąc Falerno.

* * *

Winnice na grobach rosną,
A zatem z tych winogradów
Ożywim wenę miłosną
Prochem pradziadów.

Życie nad śmiercią przeważa,
Bo taka istnienia kolej;
Wypijmy zdrowie grabarza...
Wina mi dolej!

Kto jeszcze nie przestał szlochać,
Ten pewnie z własnej swej winy
Nie może już pić... ni kochać
Ładnej dziewczyny.

Niech się więc kruszy przed niebem,
Gotując się *in aeterno*:
Pójdę za jego pogrzebem,
Pijąc Falerno.

* * *

Kto mi przerywa? ... to duchy ...
Znane mi kiedyś przed chwilą ...
Brząkają w swoje łańcuchy,
Mówić się silą.

Chodźcie tu, moi najszczerśi!
Grzać się miłością i winem,
Wszak nieraz piersią przy piersi
Byliśmy czynem.

Dziś wy cieniami marnymi,
Skrwawione chylicie usta,
Mnie zaś tu trzyma do ziemi
Dziewczyna pusta.

Więc klnijmy w pijanym szale
Opatrzność niemilosierną ...
W łeb sobie jutro wypalę,
Pijąc Falerno.

APOSTROFA

Dalem ci żywot mój, to nie wiele!
Żywotów takich tysiąc dziś przepada,
Dalem ci miłość mą, o aniele!
Lecz cóż z miłości, co jak łez kaskada
Kołysze ucho twe w takt i pieśni,
A w strofie życia piorunów nie mieści? ...

Mamże jak Narcyz stać, wdzięczny sobie
I roznamiętniać się odbitym cieniem?
Grobu niesławę czcic na twym grobie,
Schlebiać ci tylko łzami i cierpieniem,
I gdy ci mieczów brak, nieść ci róże,
Co na Cezarów wędnieją purpurze?

O, precz mi z drogi tej! ja nie mogę
Płatnych służalców zwykłą iść koleją,
Ja widzę hańby znak, w oczach trwogę,
Ręce, co światu pogrozić nie śmieją;
Więc rzucam gniewu krzyk i wściekłości
I grobu twego znieważam świętości!

Ja dla męczarni twych wzgardę czuję,
Bo ty frymarczysz krwią twą, Messalino!
Wierna przeszłości tej, co cię truje,
Gdy pokolenia całe bez czci giną,
Pod triumfalny wóz zawleczona,
Gotowaś upaść liktorom w ramiona.

Spartaków wprzód syn, niż twój czciciel,
Rachunku żądam od ciebie, przekłeta,
Przeszłości krwawych krzywd smutny mściciel
Pytam: gdzie? w bólach ludzkości poczęta
A przekazana myśl jednej tobie,
Arystodemów, ty wdowo w żałobie!...

Miałas przewodnią być gwiazdą ludom,
I na sąd wielki wieków wyprowadzić
Zastęp czarniawy tej, co dziś trudom
Wolnych poświęceń zdoła już poradzić,
Grachów zabitych sen w czyn zamienić
I ludzkość złotą jutrznią opromienić!...

Więc kiedy zdradzasz dziś, giń bez chwały!
Nie leż ci dłużnym, lecz urągowiska!
Czuję w wnętrznościach twych duch struchlały,
I w oczach twoich ogień już nie błyska;
Focjonów słuchać chcesz smutnej rady...
Więc tylko Baru powstajesz cień blady.

O nie tak, piękna ma! nie w arenie
Ku czci Cezarów, jak niewolnik, padać,
Ale się w węże strój i w płomienie

I idź sumienia narodów spowiadać:
Gorgony twarzą świeć zbrodniom w oczy,
Aż każda głazem pod nogi się stoczy!

Przez ludów ciężki znój i przez mękę
Plemion dławionych węzem Laokona,
Ludowi swemu ty podaj rękę,
I w przyszłe wieki pchnij się uwielbiona
I ofiarnicą bądź! dla przyszłości
Znacząc krwią, duchy wydarte nicości.

Niech pokolenie to gruzem legnie!
U wielkich natchnień dziejowych ołtarza,
Bo anioł, Polsko, twój dalej biegnie
I szalę świata ku niebu przeważa,
I depcząc purpur tych krwawe szmaty,
Wolności ludom sypie złote kwiaty!

ODPOWIEDZ

Księżycowe nikłe tęczę,
Rozwieszone mgły pajęcze,
Na lecichune tkać przedziwa,
Chore serca do snu tulić,
Blaskiem srebrnych snów rozczulić,
Jak kochanka pieścizotliwa;

Bładych dziewic wiotkie żale,
Stroić w świeżej krwi korale
I żałobne rzucać kwiaty,
I Filonów dniowe troski
W harmonijne przelać zgłoski,
Jak w motyli rój skrzydlaty.

Nogą oprzeć się na grobie
I uwielbić ludzkość w sobie,
I uwielbić się w ludzkości,
I każdemu, co dziś żywy
Oddać pokłon sprawiedliwy,
A spróchniałe uczcić kości;

To są jasne drogi wieszczów,
Co w ulewie krwawych deszczów
Przy swej wierze się ostali,
A zbawienia żądni świata,
Za ofiary i za kata
Rzeki gorzkich łez wylali.

Oni ziemię rozserdecznią,
Pamięć wielkich dzieł uwiecznią,
I swą pieśnią porwą duchy
W Elizejskie błogie pola,
Gdzie zapomną, że niewola
Wpiła w cielsko swe łańcuchy.

Więc za nimi i w ich ślady
Do błyszczącej gwiazd plejady,
Roztkliwione spieszcie cienie,
W harmonijnym westchnień szmerze,
Z aniołami wejść w przymierze
I zwiastować przebaczenie.

I wyjednać nam, co czarni
I skalani i poczwarni,
Długą mękę, co grzech głodzi,
I litości srebrne wieńce,
Rzucać na te potępieńce,
Co męczarni są nie radzi.

Lecz tu, w ciemnej piekiel kuźni,
Moc zuchwała niebu bluźni,
Butwiejące rwie całuny;

I narusza kość spróchniałą,
Chce ją ubrać w nowe ciało,
A uzbroić ją w pioruny.

Ezechiela wtórzac głosem,
Urągając się niebiosom,
Każe nowym duchom zstąpić,
I ożywić prochy Izawe,
Nowej śmierci dać na strawę,
A płomieni swych nie skąpić.

Więc się wichrzy, więc się kłębi,
W zatraconych światów głębi
Jadowita tryska piana;
Śród podziemnych prac mokołu,
Z grobowego wybiec dołu,
Spiesz zgraja krwią zbryzgana.

Archanielskie bledną twarze,
Gdy na słońce się ukaże
Chciwość życia i zawziętość,
Co swą przyszłość chłonąc w płuca,
Starą, zgniłą krew wyrzuca
I nie uczci żadną świętość.

A w namiętnych rwąc poskokach,
Nie w pokutnych długich zwłokach
Jasne zyskać chce męczeństwo,
Lecz toruje nowe drogi,
Lecz gliniane wali Bogi,
Gwałtem bierze człowieczeństwo.

Takim duchom więc przystało
Nie przebrzmiewać dawną chwałą,
Lub dziękczynne hymny głosić;
Lecz w zawodów ciągłej kaźni
Bez litości, bez bojaźni
W niebo wściekłą pięść podnosić.

I rozpalać gniewu burze,
Błyskawice rzucać duże
I panować zawieruchom;
Z grobu kości powywlekać
I nad nimi sąd oszczezać
I spokoju nie dać duchom.

PAMIĘCI JÓZEFA P....

Byłeś jednym z tych ludzi nielicznego koła,
Co wierni ideałom, pod nogą nie czują
Ziemskiego błota, dotknięciem się trują.
Ludzi palącej myśli i bladego czoła,
Co rażeni w kolebce spojrzeniem anioła,
Jak błędne cienie po ziemi się snują.

A wyzwolenia z męki czekając serdecznej,
Jak stracone pikiety wielkiej armii ludów
Idą, niepostrzeżeni dokazują cudów,
Ginąc bez echa w niepamięci wiecznej.

Przebiegłeś swoją metę, jak rycerz bez trwogi,
Bez skargi, bez pociechy; ani twemu oku
Odsłoniła się przyszłość w ognistym obłoku,
Jak ostatni sakrament do ostatniej drogi.

Do twojego grobowca nie zstąpi cień sławy,
Co po podziemiach zbiera swoje ulubieńce,
A próchniejące kości strojąc w lauru wieńce,
Na zasiew świata rzuca ich proch krwawy.

Spij cicho, fala życia leniwo się toczy
Dla tych, co sztandar walki chcą zatknąć przy
[zgonie]

I nieśmiertelność, którą czują w łonie,
Przekazać pokutnicy, co w popiołach kroczy,
A którą oglądali w tęsknocie proroczej;
Królową ludów, zwycięską w Syonie.

PROŚBA

O, mój Aniele, ty rękę
Daj!
Przez łzy i mękę,
Przez ciemny kraj
Do jasnych źródeł ty mnie doprowadź,
Racz się zlitować!

Serce me zwiędło, jak marny
Liść.
Wśród nocy czarnej
Nie wiem, gdzie iść,
I po przepaściach muszę nocować,
Więc ty mnie prowadź.

To, com ukochał, com tyle
Czcil
Zdeptane w pyłe
Padło bez sił,
Rozpacz i hańbę widząc po drodze,
Stałem w trwodze:

Widziałem zbrodni zwycięski
Szał,
Widziałem klęski
Duchów i ciał;
Więc obłąkany boleścią chodzę
We łzach i trwodze.

I nie wiem teraz, w co wierzyć
Mam?
Jak dzień mój przeżyć
W ciemności, sam,
Nie wiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie,
Więc ty zstąp do mnie!

Lękam się zstąpić z zwątpieniem
W grób,
I z utęsknieniem
Do twoich stóp
Chylę się z prośbą i nieprzytomnie
Wołam: zstąp do mnie!

Pokaż mi triumf w przyszłości
Dniach,
Triumf miłości
Kupiony w łzach,
I ludu mego zwycięstwo jasne
Pokaż nim zasnę!

Pokaż mi, ciszę wschodzących
Zórz,
Zmartwychwstających
Królestwo dusz,
A dbać nie będę o szczęście własne,
Spokojny zasnę.

TOAST W POZNANIU

Chwilę tylko w braterskim złączeni uścisku
Spoczęliśmy na sercach wielkopolskiej braci;
Ale dosyć nam było przelotnego błysku,
By ten węzeł jedności, co nigdy nie traci
Swojej mocy pomimo nieszczęść i rozdziałów,
Wzmocnić teraz uczczeniem wspólnych ideałów.

Dosyć było nieznanej dotychczas rodzinie,
Połączyć swoje dłonie i z oczu wyczytać
Tajemnicę braterstwa, co z serc w serca płynie,
By się o nie nie troszczyć i o nic nie pytać,
Ale wszystko odgadnąć z pierwszego wejrzenia,
I łzami wypowiedzieć dzieje pokolenia.

Zdawało się na chwilę, że to cud prawdziwy!
Ze jasna przeszłość z grobu wiekowego wstała
I przyszła błogosławić naród wiecznie żywy
W garstce, co się nad Warty brzegami spotkała,
I że królewskie cienie śpiących tutaj Piastów,
Słuchały rozjaśnione wzniesionych toastów!

I chociaż to sen tylko, żeśmy połączeni,
Choc ta mara całości wraz z rozstaniem pryska,
Jednak dla ducha nie ma granic i przestrzeni
I miłość do jednego skupi nas ogniska,
Gdzie przechowując skrzętnie cnót ojczystych
[zaród,
Nie zapomnim: że jeden stanowimy naród.

Połączyła nas dziwna braterstwa potęga!
Której z naszego łona przemoc nie wydarła:
Dziś widzimy, jak daleko poza grób swój sięga.
Więc choć nam powiadają: „Ta ziemia umarła“,
To my, czując, jak polska wydziera się dusza,
Wołamy jednomyślnie: „Jednak się porusza“.

Ta myśl, którą wynosim z naszego spotkania,
Ta wiara w polskie serca, której nic nie zmieni,
Niechaj będzie zarazem słowem pożegnania
Od tych, co Was kochają, jak bracia rodzeni,
I w ostatnim uścisku, w cichej łez wymowie,
Wznoszą po raz ostatni: Wielkopolski zdrowie!

PIOSNKA PIJAKA

Na trzeźwo nie mogę żyć!
Więc się upijam od rana
I zawsze z pełnego dzbana
Do nocy wciąż muszę pić;
Za każdym kielichem wina
Piękniejszym staje się świat,
I urok młodzięcych lat
Wstępować w serce zaczyna.

Zaledwie wypróżnię dzban,
Piosenkę znajduję na dnie,
A ona dźwięczy tak ładnie
Wśród moich samotnych ścian!
Rozjaśnia duszę pogodą
I z serca zdejmuję pleśń:
Wesoła, swobodna pieśń
Fantazję wskrzesza mi młodą.

I słyszę kochanki głos,
Pierwsze miłosne zaklęcia,
I chwytam dzban mój w objęcia
Padając na flaszek stos:

Zdjętemu błogim marzeniem
Zda się, że wracam znów
Do jasnych młodości snów
Ponad srebrzystym strumieniem!

Po kwiatach sący się zdrój
A wietrzyk roznosi wonie,
Pierś ogniem szlachetnym płonie,
Chcę wznowić rycerski bój,
W dobranym braci orszaku,
Ochoczo biegnę na szturm
I słyszę w odgłosie surm:
„Zwycięstwo przy białym ptaku!”

Pośpieszam co zdąży koń,
I u nóg kochanki klęczę,
Ona z obłoków rwie tęczę
I moją ozdabia skroń;
W rodzinne przychodzę strony
I witam rzucony dom,
I matki radosnym łzom
Powierzam zdobyte plony...

W pośrodku ojczystych pól...
Lecz tu się sen mój ucina
Fantazji, gdy braknie wina,
Powraca zgłuszony ból,
Każda odnawia się rana,
Na trzeźwo nie mogę żyć...
A więc pozwólcie mi pić
Z mojego pełnego dzbana.

BEZIMIENNEMU

Gdy jeszcze gościł na ziemi,
Zle mu w gościnie tej było,
Miał serca, serca za wiele,
I to go właśnie zgubiło.

Był jak ta harfa eolska,
Co drży za każdym powiewem,
Miotany na wszystkie strony
Miłością, bólem i gniewem.

Greckiego piękna kochanek,
Czciciel potęgi i czynu,
Marzył o duchach niezłomnych
I szukał ludzi wśród gminu.

I bratnie podawał dłonie,
I wierzył, że pójda razem
Zbratani wielkością celu,
Spojeni krwią i żelazem.

Anioła widział w kobiecie,
Lecz ta mu serce rozdarła,
A bracia? ci go zawiedli,
Więc miłość ziemską umarła.

Kraj swój miłował rodzinny
Tęsknym uczuciem sieroty,
I wierzył w zwycięstwo ducha,
W triumf wolności i cnoty;

Wierzył, że naród szlachetny
Nie ginie i nie umiera,
Ze znajdzie w każdym swym synu
Mściciela i bohatera.

Więc kiedy ujrzał nareszcie
Rozwiane najświętsze mary,
Strasznego rozbicia świadek
Ostatniej pozbył się wiary.

A chociaż uszedł przed wrogiem,
Nie uszedł potwarzy ciosu,
I nie miał z kim się podzielić
Goryczą swojego losu.

I błądził wśród obcych ludów
Nieznany, samotny człowiek,
I umarł zdala od swoich,
I nikt mu nie zamknął powiek,

I nikt już o nim nie wspomni,
I jest już garścią popiołów,
A twarda ziemia wygnania
Na sercu cięży jak ołów.

W 25 ROCZNICĘ POWSTANIA 1863 ROKU

Ruchliwe fale czasu nie zatarły
Twych krwawych śladów, o nieszczęścia roku!
Dotąd w swej grozie posępnej zamarły
Ciężysz nad nami i z przeszłości mroku
Przez lat szeregi kroczysz, widmo blade,
Wlokąc za sobą, jak całun, zagładę.

Wieleż to razy ciebie przeklinano
A z tobą marzeń zdradliwych ponętę;
Za każdą świeżą z ręki wroga raną
Zawsze twe imię wracało przekłętę
I zamrażało żywsze serc porywy
Krzykiem zwątpienia i bojaźni mściwej.

Z twoich doświadczeń czerpano nauki
I niewolnicze wysławiano cnoty,
Gaszono skrzętnie święty żar, dopóki
Męskim zapalem tchnęła pierś Heloty,
Sądząc, że lekiem najlepszym na rany
Jest gwałt polskiemu uczuciu zadany.

Za twoje grzechy Polskę z mieczem w dłoni
Z szat obnażono, jak jawnogrzesznicę,
I urągano, że praw swoich broni,
I z ran szydzono, i plwano jej w lice,
I z czci ją chciano odrzec do ostatka,
Jakby to była nie ich własna matka!

Wszystko to w spadku zostało po tobie:
Grzeszne ofiary i grzeszniejsza skrucha,
Bunt tych, co widząc mdlejące już ciało
Smieli doradzać samobójstwo ducha,
I więzy, które mocniej się nam wpily,
i lzy pałace ... i wstyd ... i mogiły ...

A jednak pamięć obchodzimy twoją,
Jak ci, co dawno z niedolą zbratani,
Nieszczęściu w oczy spojrzeć się nie boją
I nawet z ciemnej wynoszą otchłani
Tę nieśmiertelną nadzieję, co zdala
Pracę pokoleń wiąże i utrwała.

My obchodzimy twą rocznicę smętną,
Bo dawnych zwycięstw święcić dziś nie śmiemy:
Niewolnik, hańby swej noszący piętno,
W rocznicę chwały ojców stoi niemy,
A tylko ta mu droga jest i święta,
W której sam skruszyć chciał krzywdzące pęta.

My obchodzimy w twym żałobnym święcie
Najbliższą z naszych dziejowych pamiątek,
I rycerskiego rapsodu zamknięcie,

Tego rapsodu, co jak krwawy wątek
Przebiegał dziejów pogrobowych kartę,
Zbrojąc wciąż serca pokoleń uparte.

Boś ty nie przyszedł jako klątwa nieba,
Ani nie spadłeś jak grom niespodzianie,
Lecz jak duchowa narodu potrzeba,
W krwawej wypadków wypłynąłeś pianie,
Aby ostatnim orężnym protestem
Zapisać w dziejach nieśmiertelne: jestem!

Ty byłeś dzieckiem ostatnim epoki,
Która tradycję przechowując żywą,
Z dumnej przeszłości czerpała swe soki,
I wolnych marzeń snując wciąż przedziwo,
Ku zmartwychwstaniu stałe naprzód biegła,
Tak jeszcze bliska ... a tak już odległa.

Nad tą epoką jaśniał jeszcze w górze
Duch niepodległej ojczyzny widomy,
Jeszcze francuskiej rewolucji burze
Świat wstrząsające rozrzucały gromy
I biła na nią krwawych światła fala
Z wojennych ognisk „małego kaprała“.

To pokolenie, które wówczas wzrosło,
Dni listopada było niedalekim,
I swoich ojców rycerskie rzemiosło
Z krwią wzięło w spadku i wyssało z mlekiem
Żywą tradycję krótkiej zwycięstw chwały,
I majestatu Polski zmartwychwstałej.

W cudownej przed nim spływały legendzie
Postacie wodzów, strojne w liść wawrzynu,
Wieszczów krwawiących swe piersi łabędzie
I męczenników, rwących się do czynu,
Więzienia, groby, szubienice, krzyże
I śnieżna, mroźna otchłań na Sybirze...

Więc silniej każde uderzało tętno,
I klątwa wieszczów na grunt padła żyzny
Budząc gniew, zemstę i boleść namiętą
Nad poniżeniem i hańbą ojczyzny.
I wszystkie serca zbroiły się harde
W niewolniczego żywota pogardę.

Jeszcze ten łańcuch duszącej niewoli
Nie zatamował męskiego oddechu,
Jeszcze męczeńskiej naszej aureoli
Nie tknęło błoto urągania i śmiechu,
I pokutnicze nie straciły tłumy
Ostatnich błysków narodowej dumy.

Nie było nawet podówczas w zwyczaju
W dyplomatycznej ślizgać się zabawce,
W łada koniuszym lub dworskim lokaju
Zaraz ojczyzny upatrywać zbawcę,
I tym, co jawnie wyparli się Polski,
Dawać na kredyt mandat apostolski.

Kiedy kto z wrogiem chciał wchodzić w kon-
[szachty]

I stawiać złote zjednoczenia mosty,
Nie powiadano w gronie braci szlachty,

Że to mąż stanu, lecz że zdrajca prosty,
I nie wrócono nowej szczęścia ery,
Widząc na piersiach błyszczące ordery.

Jeszcze przybierać nie umiała Polska
Postaci gadu, co się u stóp czołga,
Wolała, żeby w drodze do Tobolska
Trupy jej synów unosiła Wołga,
Wolała ponieść ofiary najkrwawsze,
Niżby się miano wyprzeć jej na zawsze.

O! wtedy jeszcze nurtem tajnych koryt
Pływały na świat idealne mary,
I nadawały cudowny koloryt
Tkanej przez losy przedzy życia szarej,
A na niebiosach jaśniał blask nadziemski,
Niby wschodzącej znów gwiazdy betlemskiej.

Męki wygnania, tęsknoty sieroctwa,
Tonęły w wielkim mistycznym zachwycie;
Sny mesjaniczne, natchnione proroctwa
Nad ziemią inne wytwarzały życie,
Gdzie rzeczywistość znikła przed oczu
W gwiaździstym, sennym marzenia przeźroczu.

Pamiętam dotąd chwile owych wiosen,
Gdy serca nasze paliła tęsknota,
A bór nam szumem dębów swych i sosen
Śpiewał, jak stary pieśniarz Wajdelota,
Rycerskie pieśni dawnej przodków chwały,
Które nas czarem swoim upajały.

Pamiętam dotąd, jak nam szmer strumieni,
Słowików śpiewy, powiew kwiatów woni,
I zorza, która błękity rumieni,
I wszystko wkoło wciąż mówiło o Niej,
O nieśmiertelnej, co w grobowcu czeka
Na odwalenie kamiennego wieka ...

A w piersiach naszych z każdą chwilą rosła
Miłość bezbrzeżna, wyłączna, jedyna,
Co na swych skrzydłach duszę w błękit niosła,
Jakby do matki stęsknionego syna,
Z wiarą, że w górze poza chmur zasłona
Ujrzy ją znowu, jasną i zbawioną.

Myśmy ją wszyscy przed sobą widzieli,
Cudowną postać w złotej gwiazd koronie,
W niepokalanej czystości i bieli,
Ze zmaż obmytą przez anielskie dłonie,
Z twarzą podobną do Najświętszej Panny
I blask z swych włosów siejącą poranny.

Każdy ją wieńczył w własnych rojeń kwiaty
I jej piękności odczuwał inaczej,
Każdy w odmienne ubierał ją szaty,
Lecz nikt nie wątpił, iż po dniach rozpaczy
Nadpłynie w blasków różanych powodzi,
I swą pięknnością cały świat odmłodzi.

Więc-eśmy ręce do niej wyciągali
Wołając: „Zstępuj z błękitów, królowo!
„Krzywdy nędzarzów zważ na prawa szali,

„I sprawiedliwość wymierz im na nowo,
„Zawieś miecz pomsty nad fałszem i zbrodnią
„I bądź ludzkości gwiazdą znów przewodnią“.

„My ci pod stopy ciała swe uściem,
„Abyś stanęła na nich jak na tronie,
„I praw zgwałconych stała się mścicielem,
„Z błogosławieństwem wyciągając dłonie
„Ku tym, co cierpiąc, niesłusznie skrzywdzeni,
„Wzywają ciebie z czyścowych płomieni“.

„My nie dla szczęścia swego, nie dla siebie
„Nie pragniemy, nawet nie żądamy dożyć
„Chwili, gdy z jutrznią zabłyśniesz na niebie.
„Chcemy na zawsze w prochu się położyć
„I za swe wiano wziąć niepamięć wieczną,
„Byleś Ty jasność rozlała słoneczną“.

To wszystko teraz w przepaść się zapadło
I już przeminął czas rycerskiej służby:
Z błękitów jasne zniknęło widziadło,
Umilkły wieszczce natchnienia i wróżby,
A burza nieszczęść strąciła nam z głowy
Nawet ostatni wieniec nasz, cierniowy.

Śpiewne serc głosy, idealne hasła,
Płomienne słowa, mistyczne zachwyty
Przebrzmiały, lampa cudowna zagasła,
Na ziemię runął ideał rozbity ...
I w naszych oczach rozpadło się w gruzy
Tęczowe państwo romantycznej muzy.

Prąd czasu innym popłynął korytem,
Nastała nowa epoka żelazna,
Która wciąż ziemskim zaprzątnięta bytem
Niebiańskich widzeń słodczy nie zazna,
I tylko w ziemi wnętrzościach się grzebie
Zajęta myślą o codziennym chlebie.

Uboga duchem i uczuciem skąpa
Dokoła cień swój roztacza ponury,
Ciężko po ciałach swoich ofiar stąpa,
I chciwą dłonią szarpiąc pierś natury
Pragnie zasłonę zedrzyć tajemniczą,
Za coraz nową zdążając zdobyczą.

Choć na chorągwi kładzie prawdy znamię,
I ludzkiej wiedzy skarbnicę bogaci,
Czynami swymi wiecznym prawdom kłamię,
I fałsz podaje w misternej postaci,
I jadę zbroi węże i padalce,
By zwyciężały w strasznej o byt walce.

Nastała nowa epoka, z obliczem,
Nieubłagany, lodowaty, chmurny;
Jej bóg jest owym, niewzruszonym niczym,
Pożerającym swe dzieci Saturnem,
A jej religia, dziką tchnąca grozą,
Drapieżnej siły jest apoteozą.

Z nową religią nowi są prorocy,
Co słabszym niosąc wyrok unicestwień,
Głoszą królestwo gwałtu i przemocy,

I ewangelię plemiennych rozbestwień,
Jako pociechę wskazując w rozbiciu
Nędzę i nicość, i w śmierci i w życiu.

Pod ich chorągwie spieszą ludzie nowi
Widząc, że wiara przeszłości zawiodła,
Urażać czystych poświęceń duchowi,
Kruszyć braterstwa i wolności godła,
Przed złotym cielcem korzyć się tyranii,
Panmoskwicyzmu, albo pangermanii.

I u nas przyszło nowe pokolenie,
Wpatrzzone w ziemię z chłodem i rozwąga,
Pragnące teraz na dziejowej scenie
Odgrzebać z gruzów rzeczywistość nagą,
Podstawę bytu, mniej od dawnej chwiejną,
By na niej znowu budować kolejno.

W twardej nieszczęścia urobione szkole,
Zrzekło się marzeń zdrażliwych słodczy;
Krępuje skrzydła młodości sokole,
W każdym porywie z siłami się liczy,
I wchodzi z prądem dziejowym w przymierza;
Biorąc w rachubę instynkt i moc zwierza.

Spragnione prawdy, za nią jedną goni,
Choćby nią miało zatruć czyste źródło,
Gdyż pragnie świeżej doszukać się broni,
Z którąby mogło przyszłe staczać boje,
A w tej pogoni stopą nieoględną
Depcze wawrzyny, co na grobach więdną.

To pokolenie milczące i smutne,
Daleko myślą od dawnych odeszło;
Oskarża serca miłością rozrzutne
I lekceważy ich zasługę przeszłą,
Nie wiedząc nawet, ile w niej się mieści
Wielkich poświęceń, cnoty i boleści.

Myśmy przez piękność, sercami odczuta,
W dobra i prawdy chcieli wejść krainę,
A oto kończym nasze dni pokutą,
Zbyt śmiałych lotów oplakując winę...
Nie możemy jednak bez goryczy patrzeć,
Widząc, jak chcecie ślad przeszłości zatrzeć.

Lecz chociaż droga nasza się rozchodzi,
A chłód wasz lodem spada nam na serce,
My błogosławim wam, rycerze młodzi,
Narodowego długu spadkobierce,
I na trud przyszłych, mozolnych wyzwoleń
Niesiem życzenia gasnących pokoleń.

Idźcie! jak światła przystoi czcicielom,
Oświecać drogi ludzkiego pochodu
Ku coraz wyższemu i jaśniejszemu celom.
Szukajcie prawdy dla swego narodu,
Ażeby przez nią osiąść mógł Helota
Stracone piękno i dobro żywota.

Lecz wiedźcie: prawda, której wy szukacie,
Jest jak Proteusz kryjący się zdradnie,
Który wciąż swoje odmienia postacie,
Gdy śmiały nurek w głębi go napadnie,
I pokolenia ciekawych żeglarzy —
Coraz to nową odpowiedzią darzy...

PROLOG NA UROCZYSTE OTWARCIE NOWEGO TEATRU W KRAKOWIE

Plaudite civēs! Oto nowa scena
Otwiera muzom gościnne podwoje;
Ucieszna Talia, smutna Melpomena,
Prowadzą z sobą wdzięczne chóry swoje
I owe deski przemieniają cudownie
W ogarniającą cały świat widownię.

Cały świat uczuć, cała działań sfera
I starć namiętnych ukryte pobudki,
Zdrada, łamiąca pochod bohatera,
Dwojga kochanków sen o szczęściu krótki,
Kłamstwo i zbrodnia w zwycięskiej potędze,
Drżące przed prawdy wschodzącym światelkiem,
Wady, śmieszności i powszednie nędze,
Życie codziennym wypełnione zgiełkiem,
Wszystko tu w barwnej przesunie się tęczy,
Wybuchnie bólem lub śmiechem zadźwięczy.

Baw się narodzie! Scena ci ukaże
Znajome dobrze postacie i twarze,
I w wiernym nieraz zestawu odbiciu
Przy grozie dziejów, płaski komizm w życiu.
Więc ujrzysz na niej własne twoje syny,
Tych, co tragicznej noszą ciężar winy,
Tych, którzy duchem górują nad rzeszą,
Tych, co świat gorszą, i tych, co go śmieszą.

Kiedy zobaczysz króla Lira, który
Oddał swym córkom ziemię i koronę,
I wypędzony w łachmanie purpury
U niebios gromy przyzywa czerwone,
Wśród burzy, wzięwszy w rękę kij tułaczy,
Szaleje z gniewu, bólu i rozpacz —
Może ci na myśl przyjdzie naród pewien,
Co nie na wiano dla swoich królewien
Rozdał królestwo, lecz wprost, gdy oszalał,
Władzę i ziemię brać sobie pozwalał;
I dziś z praw swoich królewskich wyzuty
W ciemnościach burzy, przy piorunów błysku,
Jak nędzarz ciągnie długie dni pokuty,
Wydany wzgardzie i urągowiskul

Baw się narodzie! Niech ci smutną dołę
Ośladza tajne sztuki czarnoksiężstwo,
Niech ci ukaże nowe czynów pole,
Na którym możesz wywalczyć zwycięstwo,
I niech przed okiem głodnego nędzarza
Obraz kwitnącej przeszłości odtwarza.
Niechaj satyra biczem swoim karci

Wszystkie instynkty nędzne, brudne, lichy,
Niech śmiechem smaga tych, co śmiechu warci,
Niechaj piętnuje egoizm i pychę,
I obłudnikom zdziera maski z twarzy
I szpetne żądze z pięknych szat obnaży.

Baw się narodzie! Może wśród zabawy
Niejedna myśl cię szlachetna pokrzepi,
Może w przelocie cię Ojczyzny krwawy
Wzbudzi pragnienie, żeby było lepiej,
I dalsze drogi pochodu rozjaśni.
Może zobaczysz w czarodziejskiej baśni,
Wysnutej z podań ludowych legendzie
O tym, co było i o tym, co będzie,
Niby widzenie mgliste ideału:
Spiącą królową na górze z kryształu,
Którą z rąk złego odbić czarodzieja
Trzem braciom słuszną jaśniała nadzieja;
Jak dwaj z nich w morze pobiegli płomieni,
I nie wrócili więcej, zwyciężeni...
Ale ten trzeci, najmłodszy, w siermiędze,
Oprze się pokus i czarów potędze,
I pnąc się zwolna, mimo straże gniewne,
Z snu zakłętego obudzi królową.

SZCZĘŚLIWE LUDY

Szczęśliwe ludy, gdy im w górze świeci
Wolnej ojczyzny widoma potęga,
Co darząc blaskiem najuboższe dzieci,
W podziemia nędzy i boleści sięga.

Szczęśliwe kraje, gdzie pokoleń praca
Nie idzie w niwecz wśród gromów i burzy,
Lecz gdzie czyn wszelki ojczyznę wzbogaca
I gdzie myśl każda jej triumfom służy.

Szczęśliwe ludy i szczęśliwe kraje,
Gdzie geniusz wodza, bohatera męstwo
I żywot, który w ofierze oddaje,
Wielkim ideom zapewnia zwycięstwo.

Tam nawet nędzarz, którego w proch zetrze
Zawziętość losu, głowę wznosi śmiało,
Gdyż w pierś wciągając rodzinne powietrze,
Oddycha szczęściem narodu i chwałą.

Tam są szczęśliwi, co w niedoli mogą
Snić, że ich dzieciom losy się uśmiechną,
I ze spokojem patrzeć w przyszłość błogą
I o pomyślność oprzeć się powszechną.

POBUDKA

Sewerom.

Precz ze zwątpieniem co łamie
I męskich pozbawia sił,
Niech targa skrwawione ramię
Łańcuch, co w ciało się wpił!

Precz z małoduszną rozpaczą,
Nie wolno rozpaczać nam!
Niech myśli zuchwale skaczą
Do niebios zamkniętych bram!

Niech biegają jak hufce zbrojne,
I sztandar rozwinią swój,
Niech spieszą na świętą wojnę,
Na wielki o prawdę bój!

Niechaj nas klęski nie straszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą!
Za przyszłych braterstwa dni!

Choć jeden za drugim pada
Z czcicieli duchowych zórz,
Choć przemoc, odstępstwo, zdrada,
W ich łonie zatapia nóż,

Choć twierdza w gruzy się wali,
Choć płonie nad głową dom,
Nie dajcie zakuci w stali
Przystępu rozpaczy łom!

Lecz oręż dobrawszy świeży,
W obronie człowieczych praw,
Ostatnia garstko rycerzy
Do końca swe czoło staw!

Duch ludzki wszak nie na wieki
W krwiożerczych zatonał snach,
I szydząc z jutrzni dalekiej
Uwielbił przemoc i strach.

Nie zawsze narodów pycha,
Bezmyślna władania chuć,
Przed siłą ugnie się cicha,
By w oczy ofiarom pluć.

Nie zawsze na cudze chciwa,
Będzie wśród przekleństw i skarg
Kuć drugim kajdan ogniwa,
Aż własny zakuje kark.

Powoli światło się wciska
I dalej posuwa w głąb...

A jak Jerycho w zwałiska
Od dźwięku runęło trąb,

Tak runie w świetlanej zorzy
Więzienia ponury gmach...
I ludzkość oczy otworzy
Po przykrych zbudzona snach.

Więc w naszym krwawym pochodzie
Zwątpienie i rozpacz precz!
Ze szczęściem ludzkości w zgodzie
Uchwyćmy duchowy miecz.

Chociaż nas wrogi opaszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą!
Za przyszłych braterstwa dni!

UPOMNIENIE

Nie potrącajcie nieudolną ręką
Tej struny, która niegdyś w mistrzów dłoni
Brzmiała Ojczyzny miłością i męką;
Nie przedrzeźniajcie pieśni, którą oni
Na skrzydłach swoich wzniesli w toń błękitną,
By Polsce jasną świeciła jutrzeńką;
Nie dotykajcie tych snów pełnych woni,
Co ponad światem nieśmiertelne kwitną,
Bo wasza skarga bezsilna, żebracza,
Dawnej narodu wielkości uwłacza.

Niechaj spoczywa lepiej nieruchomie
Ten bohaterski dźwięk ojczystej lutni,
Niżby miał maleć wraz z ludźmi w pogromie
I zejść do próżnych lamentów lub klótni;
Niech lepiej w przeszłej swej potędze drzemie,
Gdy mu nie pora błyszczeć na wyłomie,
Niżbyśmy mieli dziś, nędzarze smutni,
W niesfornym zgiełku ściągnąć go na ziemię
I święte naszej Ojczyzny nazwisko
Wydać na wzgardę, lub na pośmiewisko.

Prawdziwa miłość w głębi tajemniczej
Ukrywa przedmiot czci swej i kochania,
I wielka boleść ma swój wstyd dziewiczy,
Który ją całą milczeniem osłania;
Ona nie zebrze o litość dla siebie,
Ani na ludzkie pociechy nie liczy,
Lecz tylko w męstwo zbroi się wytrwania...
A gdy wybuchnie głosem, to po niebie
Pieśń jej przeleci dumna, nieskalana,
Jak krzyk rwącego łańcuchy Tytana.

Taki krzyk tylko, co wstrząsa wśród nocy
Uspione ludów sumienia, przystoi
Naszej męczarni, nie zaś płacz sierocy,
Nie jęk żaloszny, którym wróg się poi.
Więc dziś odarci z swego majestatu,
I pozbawieni tej natchnionej mocy,
Co stapać może w pieśni, jakby w zbroi,
Nie dajmy z łez swych widowiska światu!
Niech serce, milcząc, wzgardę przeciwstawia
Wszystkim sprzedajnym czcicielom bezprawia.

Czekajmy! walka jeszcze nieskończona...
Nie triumfuje przemoc, choć zwycięża,
Bo zbrodnia karmi potomstwo u łona.
Co przeciw matce dobędzie oręża.
Próżno szalona pycha podkopuje
Boski porządek świata, pogwałcona
Moralność mści się... a ma żądło węża...
Kto na nią rękę podniósł, spiorunuje,
Spychając całe ludy i królestwa
W otchłań upadku, nędzy i nicestwa.

W DZIEŃ ZŁOŻENIA ZWŁOK MICKIEWICZA NA WAWELU

Gdy na ziemię padł sztandar zdeptany,
Znak królewski z orłem i pogonią,
Gdy go wodze i dumne hetmany
Już przed wrogów zniewagą nie bronią,
Gdy go w strzępki stargała niewola
I pokryła noc milczenia głucha...
On go pierwszy uniósł z walki pola,
I zamienił w jasny sztandar ducha,
I nad Polską rozwinął w błękicie,
Dając w pieśni nieśmiertelne życie.

HISTORYCZNA NOWA SZKOŁA

Historyczna nowa szkoła
Swą metodę badań ścisłą,
Sprowadzoną hurtem z Niemiec,
Rozpowszechnia ponad Wisłą,
I nabywszy pogląd świeży,
Nowym łokciem dzieje mierzy.

Nie chcąc popaść w dawne błędy
Mesjanicznych, mglistych mrzonek,
Koło polskich sztywnych karków
Okręciła swój postronek,
By zgjąć bytu żądzę dziką
Przed dziejowych praw logiką.

Czcząc spełnionych faktów kolej
I zwycięzców chytre godła,
Nie spostrzegła, że cześć siły
Za daleko ją zawiodła,
I że z rąk jej rozbiór Polski
Wziął chrzest misji apostolskiej.

W pełnym świetle jej dochodzeń
Jasną gwiazdą lśni despotyzm,
I wychodzi czysto na wierzch
Targowicy patriotyzm...
Gdyż Kościuszko to był wariat,
Co budował proletariat!

I tak dalej... i tak dalej...
Coraz śmielsze wnioski przędzie,
I nicując dawne sądy
Nie powstrzyma się w zapędzie,
Aż dowiedzie, że król Herod
Dobroczyńcą był dla sierot.

ASCETA

I.

W Tobie, o Panie, zamknąłem życie;
Ku Tobie dusza jawnie i skrycie
Płynie drogami wszystkimi;
I wciąż katuję wzgardzone ciało,
Chcąc Twoją tylko oddychać chwałą,
A zostać obcym tej ziemi.

Tyle lat klęczę tutaj w pokorze
I wzrok zatapiam w jasności morze,
Za którą mam Cię pożądać.
Nie dość, że Ciebie myśl ma odgadnie,
Ja Cię przeniknąć pragnę dokładnie,
Oczyrna ducha oglądać.

Więc zapatrzony w wieczyste blaski,
Spragniony widzeń natchnionych łaski,
Krwawymi świecę stygmaty.
I wylatując za ziemską glinę,
W nieskończoności pożądań ginę,
W Twoje wdzierając się światy.

Lecz próżno miłość świętą rozpalam,
Próżno się z więzów ciała wyzwalam,
Nie mogę, jeszcze nie mogę
Przedrzeć ostatnich mroków zasłony,
I przez serafów jasne legiony
Ostatnią otworzyć drogę.

Jeszcze królestwo Twoje nie spadło
Na duszy mojej smutne zwierciadło,
By się tam zawrzeć jak w grobie;
I nie leżałem w prochu zdrętwiały
Przed majestatem straszliwej chwały.
Widząc Cię w ogniach przy sobie.

Czasami tylko, bólem targany,
Duch mój porzuca cielska łachmany,
W nowe przedzierzga się życie;
I do Twych niebios biegnie promienny,
W apoteozie rozlać się sennej,
A ja umieram w zachwycie...

I już się oczom moim odsłania,
Przez rozstąpionych grobów błyskania
Ta Jeruzalem bez zmaży,
Co na zburzonym świata porządku
Staje bez końca i bez początku,
Przybytkiem wiecznej ekstazy.

Lecz ledwie pierwszym świtem ogrzany,
Zrywam objawień kwiat pożądaný,
Uduchowione upajam zmysły,

Gdy nagle z natchnień moich zenitu,
Do dawnej wracam martwości bytu,
I rajske widzenia przysły.

II.

Panie! z otwartym duszy kielichem,
W uniecznieniu pogrążon cichym,
Nowymi ogniami płonę.
Nie ma już dla mnie czasu, przestrzeni,
Tylko się zorza wieczna promieni,
Nie jestem, lecz w Tobie tonę!

Wznoszę się, lecę, głębia bez końca,
A chociaż nie ma ziemskiego słońca,
Oczy znieść blasków nie w stanie:
To nie są gwiazdy, to nie są chmury,
Ale skrzydlate anielskie chóry,
Co wiodą w światel otchłanie.

O! to krzyż wielki tę jasność miota,
A u stóp jego źródło żywota
Rozlewa wieczne strumienie;
Tłumy wybranych miliony całe,
Niby błyszczące gołębie białe,
Piją zeń swoje zbawienie.

Wszyscy swe oczy wznoszą w tę stronę,
Gdzie zakrwawioną cierniów koronę
Trzymają złote Cheruby;

A pod nią wyższe orszaki świętych,
Na nieskończonej tęczy rozpiętych,
Jako gwiazdziste tkwią śruby.

Jedni z otwartą księgą wyroków
Przestrzenie mierzą okiem proroków,
A chwałę ustami niosą;
Drudzy weselne śpiewają psalmy,
Strojni w zielone, męczeńskie palmy,
I krwawą myją się rosą.

Błękit się coraz rozszerza dalej,
W tych sfer duchowych ruchomej fali
Dziewic przezczystych rój płynie:
Każda z srebrzystym na głowie wieńcem
W godowych szatach przed oblubieńcem
Stanąć w triumfu godzinie.

Ach! i ta płynie jasna, natchniona,
Z takim spojrzeniem niebios jak ona,
Co stała drżąca i blada,
Gdym usta topił w złotym warkoczu...

Gdzie jesteś Panie? tracę Cię z oczu,
I niebo Twoje przepada!

III.

Cóż mi ta ziemia? jej się wyparłem!
I cóż mi ludzie? dla nich umarłem,
I nic mnie z nimi nie łączy!
Ziemskie pociechy, ziemskie boleści —
To tyleż bluźnierstw w odmiennej treści,
Których jad w serce się sący.

Niechaj krwią dymi czara ohydna,
Niech się urąga tłuszcza bezwstydną,
Triumfy święcąc zwodnicze!
W kłamstwie upadną kłamstwa czciciele,
Co na jałowym wieków popiele
Nietrwale łowią zdobycze.

Niech obłąkane dumą anioły,
Co chcą zapłodnić martwe popioły,
Ziemskiej oddani ojczyźnie,
Dotknięci słusznym niebios wyrokiem,
Nie dojrzą Boga stęsknionym okiem,
W dziejowej niknąc krwawiźnie.

Ponad tą lichą robactwa wrzawą,
Co się dobija o życia prawo,
W fałszu chwilowych zapędów,
Niezmienna prawda, do której dążę,
Jedna warunki życia rozwiąże
I skruszy kajdany błędów.

Tam! za tą wstrętną plamą nierządu
Dla ciemnych ludzkości marzeń,
Bić już zaczyna godzina sądu
I duchy trwogą przeczuć miotane,
Patrzą się, dzikim bólem złamane,
W niebiosą pełne przerażeń.

Czas się wiekowej wypełnia zgrozy,
I na gwiazdziste wstąpił już wozy
Zelaznym berłem rządzący;

Ten, co go nie zna nawet z imienia
Świat, choć pokazał twarz swą z płomienia,
A w ręku swoim sierp lśniący.

Idzie na żniwo, przed nim anioły
Równają ziemskie góry i doły
Pługami ostatnich zniszczeń,
I przewracając glebę cmentarną,
Zbierają ważne i czyste ziarno
W omłocie boskich oczyszczeń.

Duchy brylantem zasług bogate,
Wdziewają świetną zwycięstwa szatę,
W nadziemskiej stają ozdobie;
Nawet skalne krwią ludzką zbójce,
Przeszłszy męki Twojej ogrójce,
Wznoszą się czyste ku Tobie.

Jacyż to biedni i odtrąceni,
Idą w czerwone morze płomieni,
Okryci hańby swej piętnem?
Ach! to ostatni z mojego ludu,
Co próżno w jasnych zmartwychwstań cu-
[du

Oczekiwaniu stał smętnym.

Bezplodne męki dostał w udziale,
Choć zawsze świadczył o Twojej chwale
I dziś go czeka zagłada!
Taką robotnik Twój bierze płacę?

Gdzie jesteś, Panie? z oczów Cię tracę
I niebo Twoje przepada!

POD STOPY KRZYŻA

Dużo cierpiałem... lecz koniec się zbliża
Z uspokojeniem po przebytej męce,
Pójdę, o Chryste, do stóp twego krzyża,
Wyciągnąć znowu z utęsknieniem ręce,
I witać ciszę zachodzącej zorzy,
Która mnie w prochu u stóp twych położy!

Nie pomnę modlitw, com niegdyś ze skrucą
Przy boku matki powtarzał niewinny.
Te utonęły w fali życia głucho,
I odkąd w gruzy padł mój raj dziecinny,
Odkąd mi zbrakło ojczyzny i domu —
Nie otworzyłem mej duszy nikomu!

Nawet przed Tobą, nie mogłem, o Panie,
Wydobyć płaczu z mej piersi ściśniętej,
Bo wzrok mój padał w bezdenne otchłanie,
A tyś mi zniknął na krzyżu rozpięty,
Spośród pokoleń rozrzuconych kości,
Za ciemną chmurą krwi, łez i nicości.

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie, nie widziałem kary;
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie znalazłem — i zbrakło mi wiary;
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach płaczą.

Widziałem trwogę i niemoc konania,
Widziałem duchów hańbę i upadek,
Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania;
I próżnych męczeństw przerażony świadek,
Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje,
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję.

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą,
Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie,
Wiedzą przynajmniej dlaczego tam lecą,
I że przyjmując każdy ból i ranę,
W piersiach anielstwo noszą nieskalane.

Lecz gdym obaczył, skąd te wszystkie czyny
Swoją tajemniczą początek wywodzą;
Skąd wyrastają ściekle krwią wawrzyny,
Gdzie upadają ci, co w niebo godzą;
I gdy wnikając w serc zranionych ciemność,
Za każdym bólem znalazłem nikczemność —

Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posępnej,
I przeklinałem tę rzeszę żalobną

I pogardzałem nimi, sam występny! ...
I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Zem nie mógł kochać, jak dawniej za młodu.

Tak więc w mej duszy zburzonym kościele
Została straszna pustka i samotność;
Sam jako nędzarz zostałem w popiele
I własną badać zacząłem przewrotność
I wszystko w sobie znalazłem to samo,
Co mi się zdało być u drugich płamą.

Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche,
Co kłamią tylko pozór wyższej cnoty,
Olbrzymią nicość i olbrzymią pychę
Znalazłem na dnie swej własnej istoty:
I tak swe serce rozpoznawszy chore,
Straciłem w sobie ostatnią podpórę.

Lecz ta upadku właśnie ostateczność,
Co mnie w bezdennej pograżyła nocy,
Dała mi poznać wszechwładną konieczność
Wyższej, a razem nieskończonej mocy.
I moja rozpacz szalona i trwoga
Świadczyła jeszcze o potędze Boga.

Na mojej piersi spoczywał schowany
Maleńki krzyżyk ze słoniowej kości:
Świadek młodości wiary nieskalanej,
Dar macierzyńskiej najczystszej miłości,
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego, boskiego męczeństwa.

Kiedy go teraz na piersi zbolącej
Po latach tyłu znalazłem niewierny,
Tak mi się wydał znowu jasny, biały,
Taki potężny i tak miłosierny,
Ze znów tęsknotą zadrżało mi łono
Za tą postacią tyle uwielbioną!

I powitałem światło wiecznie nowe
Z tych jasnych ramion krzyża tryskające,
I na skrwawione stopy Chrystusowe
Tak samo lałem moje łzy gorące,
Jak wówczas, kiedym poił serce młode,
Patrząc na mistrza nadziemską pogodę.

I znów słyszałem te boskie wyrazy:
„Chodźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie,
„Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy,
„We mnie jest spokój i we mnie jest życie,
„Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie,
„Wszystko przemija, prawda nie przeminie!“

Więc posłuchałem słodkiego wezwania
I oto idę z mym sercem schorzałym
I pewny jestem Twego zmiłowania,
Bom wiele błdził, lecz wiele kochałem
I drogi życia przeszedłem cierniste ...
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz, Chryste!

CICHE WZGÓRZE

Znam ja jedno piękne wzgórze,
Na nim kwitną przy figurze
Przeźroczyste polne róże.

Boża męka pochylona
Patrzy z ciszą i spokojem,
W świat wyciąga swe ramiona
Ponad ziemskim krwawym znojem.

Jak tam słodko, jak tam błogo:
Nie dotknięte bólem, trwogą,
Serca w niebo płynąć mogą.

Tęsknych dumań nic nie zmąci,
Cichnie ludzkiej głos boleści:
Chyba wietrzyk listkiem trąci,
Lekko, śpiewnie zaszeleści.

Kiedy słońce z nieba schodzi
W swojej złotem tkanej łodzi,
W purpurowych fal powodzi,

To nad wzgórkiem twarz swą zniża,
Pożegnalnym blaskiem strzela
I całuje stopy krzyża,
Święte stopy Zbawiciela.

Pod tym krzyżem w pierwszej wiosnie
Z polną różą, co tam rośnie,
Wyglądałem w świat radośnie.

Pod tym krzyżem w pierwszej wiosnie
Na mogile kwiaty rwałem;
Z tego wzgórza zagon własny
Raz na zawsze pożegnałem.

Więc choć lat już przeszło tyle,
Myślę wracam w dawne chwile
Siąść pod krzyżem na mogile.

Chcę usłyszeć znów o zmroku
Pieśń nabożną tego ludu,
Co się modłąc ze łzą w oku
Oczekuje zawsze cudu...

III.
Społeczne

ZAPUSTNY OBRAZEK

Noc zapadła; niebiosa jasne i pogodne
Błyszczą się jakby modre, zamarzłe jeziora:
Tak dla oka są sine, przejrzyste i chłodne.
Dawno zagaśł ostatni rumieniec wieczora,
A biały odbłask śniegu w powietrzu odbity
Dziwną martwością powłókł zmrożone błękity.
Jasność błękitna w górze, srebrzysta u spodu,
Drżącą a chłodną falą przenika świat cały;
I księżyc po niebiosach, jak po tafli lodu
Ślizga się i na pola patrzy, co zbiegały.
Gwiazd nieskończoność: wszystkie zaiskrzone

[mocno

Błyskają migotliwym, jaskrawym światelkiem
Nad miastem, co się właśnie budząc porą nocną,
Zawrzało wesołością i ruchliwym zgiełkiem.
Na ulicach dokoła ruch i wrzawa wzrasta;
Snuje się pełno ludzi, a powozy w biegu
Niemilosiecznie skrzypią po przymarzłym śnie-

[gu;

Słysząc piosnki hulaszcze. Tu ówdzie wśród
[miasta

Dolatuje muzyka z oświetlonej sali;
Przez okna widzieć można falujące głowy;
Tum się tłoczy do wejścia, bo to bal ludowy,
A taniec już się zaczął. Kilka ulic dalej,
Wśród orszaku ciekawych, do pałacu bramy,
Zastawionej kwiatami, szereg karet liczny
Zajeżdża, a z nich strojne wysadzają damy
Galonowi lokaje. Bal będzie prześliczny!
Gdzieniegdzie po ulicach krzątają się maski,
Zdążając na zabawę: diabły, arlekiny,
Trzęsą się wprawdzie z zimna, lecz nie tracą mi-
[ny;

Biegną wesoło: słyhać pusty śmiech i wrzaski.
Wszystko się krząta, bawi, albo bawić żąda:
Nawet nędzarz nieśmiało do szynku zagląda,
Patrząc z niemą zazdrością na szczęśliwe pary,
Co się kręcą przy brzęku niestrojnej gitary,
Której pomaga zgrzytem chrapliwa basetla.
Dla niego ta izdebka duszna, odrażliwa,
I ta lampa dymiąca, która ją oświetla,
Ten hałas i ta kłótnia, co się nagle zrywa,
Ach, tyle ma uroku i tyle go nęci
Ten napój, co przynosi ulgę dla pamięci.
Zapusty! Nic dziwnego, że się ludek cieszy;
Prócz chleba, trzeba jeszcze dla łaknącej rze-
[szy

Zapomnienia o troskach codziennych żywota,
Odurzenia i szału, dla myśli spoczynku:
A więc wszystkich porwała chwilowa pustota
Zaczawszy na pałacach, skończywszy na szyn-
[ku.

DZISIEJSZYM IDEALISTOM

Czyliż fałszywy wzbrania wam wstyd
Z obłoków zstąpić do ziemian?
I czynnie walczyć o dalszy byt
Wśród życia wstrząśnień i przemian?

Czyliż sądzicie, iż spadek wasz
Całą wam wieczność zapewni? ...
Ze odwracacie od ziemi twarz
Bezczynni, a jednak gniewni.

Wprawdzie bogaty wzięliście dział,
Przyjść dziedzictwo gotowi;
Lecz on na zawsze nie będzie trwał,
Gdy zasiew żniwa nie wznowi.

Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków dostatki —
Temu dowództwo odbierze świat,
A mienie wydrą wypadki!

Do tych należy jutrzejszy dzień,
Co nowych łakną zdobyć.

Kto się usuwa w ciszę i w cień —
Ten się do żywych nie liczy.

Dziś hasłem walka — i trudno już
Milczeniem przeczyć jej skrycie.
Dziś trzeba zstąpić w sam środek burz,
Potrzeba walczyć o życie!

Napróżno chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowej sfery istnienia:
On tylko wyższy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.

Lecz i tu walka powszechna trwa,
Podległa duchów potrzebie;
A ten zwycięzcą, kto drugim da
Najwięcej światła od siebie!

JULIUSZOWI MIEN.

Omdlały ręce fantazji loty:
Już na szczęśliwe wyspy nie plynie,
Aby odnowić ludziom wiek złoty

W czarów krainie.

Dzisiaj myśl ludzka schodzi pod ziemię,
Z trudem kamienne żłobi koryto,
By wydrzeć mocy, która tam drzemie,
Zdobycz ukrytą.

Przygasło dumnych pragnień zarzewie,
Sny bohaterstwa, marzenia chwały,
Wielkie natchnienia, w życiu i śpiewie
Zwolna przebrzmiały.

Dziś ludzkość trwożnie patrzy przed siebie,
Szukając nowej gwiazdy przewodniej,
I o codziennym rozmyśla chlebie
Dla tych, co głodni!

Zal nam stubarwnej tęczy, co blednie,
Cudownych marzeń, co blask swój tracą,
Lecz ludzie muszą prawdy powszednie
Zdobywać pracą.

Zal nam poezji w pieśni i czynach
I bohaterów żal nam pochodów,
Lecz ludzkość musi myśleć o synach
Ginących z głodu.

KRĄG PRZEMIAN

Dnia słoneczność ,wiosny tchnienie,
Morza piany i błękity,
W jedno zlały się widzenie:
W cudną postać Afrodyty!

Wymarzona piękność ciała,
Nawpół boska, wpół kobieca,
Żądom nowy polot dała,
Nieśmiertelną miłość wznieca.

A miłosnych pragnień siła
Ku zwycięskiej dążąc chwale,
W biegu swoim potrafiła
Różnorodnych uczuć fale.

Każda fala kręgi duże
Zataczając, rośnie... wzbiera...
I kochanków mirt i róże
W laur zamienia bohatera.

Sen rozkoszy, sen miłosny,
Choć go jedno serca prześnią

Wraca na świat wdziękiem wiosny,
Blaskiem, wonią, barwą, pieśnią.

Zawiedzionych serc tęsknota,
Piękność, która z ciałem ginie,
Wschodzi w nowych dniach żywota,
W poświęcenia wielkim czynie.

To co było czynem wczora,
Dziś jest pieśnią lub legendą,
A gdy nowa błysnie pora —
Pieśni w czyn się zmieniać będą!

TA ŁZA

Ta łza, co z oczu twoich spływa,
Jak ogień pali moją duszę,
I wciąż mnie dręczy myśl straszliwa,
Ze cię w nieszczęściu rzucić muszę.

Ze cię zostawię tak znękaną,
I nic z win przeszłych nie odrobie.
Ta myśl jest wieczną serca raną,
I ścigać będzie jeszcze w grobie.

Mślałem, że nim rzucę ziemię,
Twych nieszczęść szala się przeważy,
Ze z ramion ciężkie spadnie brzemie,
I ujrzę radość na twojej twarzy.

Lecz gdy los na to nie dozwoli,
Po cierniach w górę wciąż się wspinaj,
A choć winienem twojej niedoli,
Miłości mojej nie przeklinaj!

W OBIEGU

Ludzkość w swoim obiegu słonecznym
Miewa także pełne mroku dnie,
W których prawom podległa odwiecznym,
Mniejszą siłą żywotności tchnie.

Miewa swoją chłód niosącą jesień,
W których stygnie dawnych uczuć żar,
Gaśnie płomień namiętnych uniesień
I swą jasność traci życia dar.

Otrząśnięty po ziemi się wala
Przeszłych dążeń idealny kwiat,
Rwącej myśli nie przybiera fala
I lodowych nie przerywa krat.

Pierzchły marzeń tęczowe motyle,
W gajach umilkł wdzięczny przedtem
[śpiew,

I nadzieje w pełnej niegdyś sile,
Jako liście opadają z drzew.

Zewsząd słyhać skargi rozpaczliwe...
Zapóźniony dawnych czasów widz
Mniema, patrząc na zmrożoną niwę,
Ze już na niej nie powstanie nic;

Ze serc ludzkich nic już nie poruszy,
Ze kwiat uczuć ani myśli kłós
Nie wystrzeli z głębi ludzkiej duszy
I nie zabrzmi świeżej pieśni głos;

Ze nie będzie już światła, ni ciepła
I zagaśnie nawet święty Znicz,
I że ludzkość, co w mrokach oślepla,
W ludożerców zamieni się dzicz.

Lecz gdy właśnie najwięcej się szerzą
Smutne wróżby — niewiadomo skąd
W skrzepłe serca niesie wiosnę świeżą
Niewidzialny a cieplejszy prąd.

Myśl ożywcza nagle znów wystrzeli,
Jak nieznany pojawi się bóg,
I odnajdzie namiętnych czcicieli,
Szukających nowych życia dróg.

Znowu zapal pierś ludzkości grzeje,
Znowu jasność opromienia świat,
Nieśmiertelne znów wschodzą nadzieje
I zakwita ideału kwiat!

I pieśń świeża dźwięczy znów i rośnie,
Odnajduje utraconą noc,
Głosząc sercom bijącym radośnie,
Ze już przeszła smutnej zimy noc.

GŁOS WOŁAJĄCY NA PUSZCZY

Czasami doleci z burzą
Do uszu bezmyślnej tłuszczy,
Do wodzów, co kłamstwu służą,
Głos wołający na puszczy.

Grozą przenika ich serca;
Drży, jak schwytany morderca,
Nie jeden porzuca łóżę,
Lecz przestróg pojąć nie może.

Niezrozumiałym jest dźwiękiem...
Głos wołający w pustyni,
Śpią dalej na łożu miękkim...
I nikt pokuty nie czyni.

ŚWIAT SIĘ OGNIAMI ZAPALA...

Świat się ogniami zapala
Do wnętrza swego wstrząśnięty;
Burzliwa wezbrała fala
I z rykiem leci w odmęty;
Bóg dzikie rozkiełznał siły,
Więc będą z sobą walczyły.

Powstaje w ogniu i dymie,
Co dotąd kryła noc głucha;
Jakieś widziadła olbrzymie
Rwą się ze swego łańcucha:
Z otchłani podnoszą głowę,
Znów na śmierć walczyć gotowe.

W powietrzu pełno okrzyków,
Pobudka brzmi już straszliwa;
Zwycięzców i niewolników
Krwawe szaleństwo porywa;
Choć nie chcą, wściekłość i nędza
Tłum cały naprzód popędza.

W przeczuciu groźnych przewrotów
Strwożone zbroją się ludy,
Czuja, że runąć im gotów
Ow gmach społecznej obludy,
A wszystkie święte przymierza
Krew ofiar zaleje świeża.

Czuja, że tajna potęga,
Nurtując ziemię do gruntu,
Dawny porządek rozprzega,
Podnosi chorągiew buntu,
I wszystkie przeszłości ślady
Chce zrównać pługiem zagłady.

Więc wiedzą, że bronić muszą
Całej dziejowej zdobyczy,
Przed własną zatrutą duszą,
Przed nowym najazdem dzicy,
By choć ocalić z rozbicia
Podstawy przyszłego życia.

W WALCE O BYT

Tyle nasion spotyka zagłada,
Tyle kielków wschodzących marnieje,
Tyle pączków przedwcześnie opada,
Najpiękniejsze budzących nadzieje.

Usychają młode latorośle
Zanim stanąć zdążyły w rozkwicie,
Dumne kształty, co zeszyły wyniośle,
Upadają wśród walki o życie.

Giną w męce rody i plemiona,
Choć walczyły z męstwem bohatera...
Mnóstwo pragnień nieziszczonych kona,
Mnóstwo uczuć bezpłodnie umiera.

Wszędzie ciężka na byt dalszy praca,
Wszędzie walki groza i męczarnia,
Która w niwecz zwycięstwo obraca,
I ofiary w ciemną przepaść zgarnia.

I odwieczne nie troszczą się moce:
Co przez chwilę na fali wypłynie?

Co zatonię w zagłady pomroce?
I co zejdzie na świeżej ruinie?

Nie pytają: kto doznał rozbicia?
Kto się w gnieździe rozsiada zdobytym?
Byle tylko rwący strumień życia
Płynął dalej wezbranym korytem.

Byle tylko zorany przez klęski
Grunt dla nowych zasiewów był gotów,
I kształt nowy, co wyjdzie zwycięski,
Wyżej poziom podnosił żywotów.

F A L E

Na morza wzdętej toni
Wciąż fala falę goni,
Wzbierając z szumem pędzi,
Srebrzystą pianą wrząca,
W podskokach się roztrąca
Na ostrej skał krawędzi;

Lub tocząc na brzeg płaski
Błyszczące, mokre piaski,
Kamyczki i muszelki,
Zamiera z dźwięcznym echem,
Zanim ją swym oddechem
Ocean wciągnie wielki.

I żadna z nich nic nie wie
W bezsilnym swoim gniewie,
Do jakich celów służy,
Lecz powracając ginie
W bezdennej wód głębinie,
Po krótkiej swej podróży.

Jednak ich ciąga praca
Skalisty brzeg wywraca,
Zmienia koryta prądów,
Pochłania ziem przestworza,
I nowe wznosi morza
I rzeźbi postać lądów.

Pokoleń smutna fala
Na marność swych zabiegów
Podobnie się użala
Ze tak bez śladu tonie,
W wielkiej całości łonie
Odbita z ziemi brzegów.

Widocznych śladów mało
Po każdej pozostało,
I dumne jej zamysły
Odparte w swoim pędzie
Przez ostre skał krawędzie,
Jak piana nagle prysły.

A przecież siła żywa
Wiążąca ich ogniwa
Przez długie lat koleje,
Z pokoleń w pokolenia
Ludzkości postać zmienia.
I rzeźbi świata dzieje.

DZIEŃ W CZORAJSZY

Piotr terazniejszość wyklina,
Wszyscy gniewają go ludzie:
Gniewa zalotna dziewczyna
I piesek, co szczeka w budzie.

Gorszą go nowe kierunki,
Potępia działalność cudzą,
Dzieci na łonie piastunki
Już jego odrazę budzą.

Wszędzie zepsucie go ściga,
Próżno sam stoi na straży,
Zwycięża w świecie intryga
Żydów i Wolnych mularzy.

Zalewa ziemię wokoło
Rozpusty bezwstydnym cynizmem,
Jak hydra podnosi czoło
Socjalizm i jakobinizm.

Znikąd nie widać pociechy,
Więc przepowiada narodom,
Za wszystkie tych czasów grzechy,
Los straszny biblijnych Sodom.

„Dawniej — to wspomnieć aż miło,
„Nic nie kosztował nas najem,
„Wszystko się samo robiło
„I życie było, ach, rajem.

„Podatków nie gniotło brzemię,
„A pan spokojnie sprzedawał
„Jeśli nie całą swą ziemię,
„Przynajmniej dobry jej kawał.

„Moralność kwitła na dole ...
„I niższa narodu warstwa
„Kornie zносиła niedolę,
„Szukając w modłach lekarstwa.

„Nie było pokusy próżnej,
„Każdy się godził z swym stanem,
„Kto żebrak, ten żył z jałmużny,
„A pan — ten zawsze był panem.

„Nauki zgubnego jadu
„Nikt w dusze ludzkie nie szczepił,
„Zepsucia nie było śladu,
„Najwyżej — wioskę kto przepił“.

Tak się wciąż skarży i zżyma
I biada pocziwa dusza,

Aż przywdział ubiór pielgrzyma
I w drogę po nocy rusza.

Sród nocy, ciemno troszeczkę,
Więc w błocie kosturem grzebie,
Zapalił łojową świeczkę,
I pilnie patrzy przed siebie.

„Gdzie idziesz? — pytam — człowiecze,
„Czy szukasz po nocy czego?“
A on mi z dumą odrzeczę:
„Ja szukam dnia wczorajszego“.

„Jak sądzę, daleko zajdziesz,
„Pospieszaj zatem jegomość,
„A jak wczorajszy dzień znajdziesz,
„Przyślij mi pocztą wiadomość“.

NIE BAJKA

Spadł z drzewa topoli pączek
I płynie z potoku piana,
Na nim sieć osnuł pajączek,
Czyha na muszkę schwytaną.

Próżno się z więzów wrywa
I targa sprężyste nici,
Gdy się wysunie wpół żywa,
Pająk w objęcia ją chwyci.

Zwolna ją dusi i gnębi.
Zanim śmiertelny cios zada,
A pączek płynie ku głębi,
Gdzie nurt potoku w dół spada.

I wkrótce po muszki klęsce,
Gdy się już więcej nie broni,
Z ofiarą razem zwycięzcę
Wir wodny pogrążył w toni.

SZTUCZNE KWIATY

Fabrykacja sztucznej flory
Z wielką prawdą dziś oddaje
Roślinnego świata wzory
I odmienne ich rodzaje.

Każdy nawet kwiat najrzadszy
Naśladuje zręcznie sztuka,
Kto się dobrze nie przypatrzy,
Bardzo łatwo się oszuka.

I w poezji wdzięcznych kwiatach
Wzmógł się przemysł, gdyż je sztucznie
Wyrabiają na warsztatach
Wyzwolonych kunsztów uczenie.

Odtwarzają nader wiernie
Układ, barwę i kształt wszelki,
Płatki koron, listki, ciernie,
Nawet lśniące ros kropelki.

Pierwszorzędnych firm wyroby,
Posiadając wiele zalet,
Służyć mogą do ozdoby
Salonowych dam toalet.

Fabrykaty mocne, tanie,
Pełne smaku i świeżości,
Zasłużyły na uznanie
Eleganckiej publiczności.

Znaczny zapas jest do zbycia
Doskonałych tych towarów.
Nic im nie brak... oprócz życia
I poezji słodkich czarów!

Z A B Y

Zaby, jak to wiadomo, lubią siedzieć w bagnie,
Choć która zeń wyskoczy, zaraz wracać pragnie;
Więc choć są zniewolone czasem do podróży,
Zawsze na nocleg trafiają do jakiej kałuży,
A wróciwszy do siebie, powiedzą z prostotą:
Ze w całym świecie wszędzie jednakowe błoto.

Są ludzie, co tak samo wydają wyroki,
Ze kałużą zepsucia cały świat szeroki,
I że wszędzie, gdzie spojrzeć, wysoko, czy nisko,
Trzeba zawsze jednakie napotkać bagnisko.
Lecz ja, kiedy usłyszę te skargi rozpaczne,
Zaraz surowych sędziów podejrzewać zacznę,
I myślę sobie w duchu: ci pewnie z ochotą,
Jak żaby, lubią wszędzie wyszukiwać błoto.

WIELKIEMU CZŁOWIEKOWI

Jesteś wielkim człowiekiem, bądź nim, gdzie
[należy,
Lecz do śmiertelnych przychodź w zwyczajnej
[odzieży,
Bierz za przykład Jowisza, co choć gromo-
[władny,
W dom śmiertelnych przychodził grzeczny
[i układny,
Nie chcąc zbyt żywym blaskiem olimpijskiej
[chwały
Razić biednej ludzkości wzrok niedoskonały.
Więc i ty, kiedy schodzisz w towarzystwo ludzi,
Nie bierz ze sobą gromu, który postrach budzi,
Nie przynoś orlich spojrzeń, tytanicznych po-
[staw
Lecz wielkość z kaloszami w przedpokoju zo-
[staw!

BOLESŁAWOWI PRUSOWI

Niechaj pracownik nie żali się cichy,
Gdy ziarno myśli wciąż rzucając świeże,
W oklaskach tłumu i błyskotkach pychy
Za trud swój głośnej zapłaty nie bierze.

Rozgłos i sława przemija tak marnie,
Jak tuman pyłu, którym wichur kręci...
Choć nagle cały widnokrąg ogarnie,
Znikając z oczu, znika i z pamięci.

Opada fala uwielbieniem wrząca,
I tych, co w górę wyniosła na siebie,
Po krótkiej chwili znowu na dół strąca,
I grzebie żywcem w zapomnienia grobie.

Powoli nawet dźwięk imienia głuchnie,
Zgłuszą go nowi tłumy ulubieńce,
I w bezimiennym rozsypią się próchnie
Oznaki hołdów i laurowe wieńce.

Zginą od prądów chwilowych zawiśli
Za widmem sławy goniący sztukmistrze,
Lecz nie zaginie siew szlachetnych myśli
I nie przepadną natchnienia najczystsze.

Choć pracownika noc otoczy głucha,
Wyrosną kwiaty na cmentarnej grzędzie,
I nieśmiertelna częśćka jego ducha
W sercu pokoleń późniejszych żyć będzie.

A nowych czasów dążenia i czyny,
Co nieświadomie zeń początek wiodą,
Te niewiedzące dając mu wawrzyny,
Będą dla niego najwyższą nagrodą!

NA NOWY ROK

Słyszyciel! północ już bije,
Rok stary w mgły się rozwiewa,
Jak sen przepada . . .
Krzyczymy: Rok nowy niech żyje!
I rwijmy z przyszłości drzewa
Owoc, co wiecznie dojrzewa,
A nie opada.

Rok stary, jak ziarnko piasku,
Stoczył się w czasu przestrzenie;
Niech ginie! bez łzy, oklasku,
Jak ten gladiator w arenie,
Co upadł niepostrzeżenie —
Czas go pochować.

Bywały lata, ach krwawsze,
Z rozpaczy jękiem lecące
W przeszłości mrok,
A echo powraca zawsze,
Przynosząc skargi palące . . .
Precz z smutkiem! Życzeń tysiące
Na Nowy Rok!

Spod gruzów rozbitych złudzeń
Wynieśmy arkę rodzinną
Na stały ląd!

Duchowych żądni przebudzeń,
Potęgą stańmy się czynną,
Bacząc, by w stronę nas inną
Nie uniósł prąd.

Rozumu! niezgiętej woli,
Prawdziwej duchowej siły
I serc czystości!

A Bóg nam stanąć pozwoli,
I z naszej skromnej mogiły
Dzieci się będą uczyły:
Jak żyć w przyszłości.

W olbrzymim pokoleń trudzie
Bądźmy ogniwem łańcucha,
Co się poświęca;

Nie marzmy o łatwym cudzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walką, co nie wybucha,
Pracą bez wieńca.

Uderzmy w kielichy z winem
I bratnie podajmy dłonie,
Wszakże już czas!

Choć różni twarzą lub czynem,
Niech nas duch jeden owionie,
Niech zadrży miłością w łonie
I złączy nas!

Bo miłość ta, która płynie
Z poznania ziemskiego mętu,
Jest światłem dusz!

Choć Bogu wznosi świątynie,
Potrafi zstąpić bez wstrętu
I wyrwać słabych z odmętu
W pośrodku burz.

Niech żyją pierwsi w narodzie!
Jeżeli zawsze są pierwsi
I w poświęceniu.

Gdy z czasu potrzebą w zgodzie,
W szlachetnym czynie najszczerzi,
Swą dumę umieszczą w piersi,
A nie w imieniu!

I ci, co żadnej spuścizny
Na grobie matki nie wzięli
Prócz łez, niech żyją!

Jeżeli miłość ojczyzny
Jako synowie pojęli
I na wyłomie stanęli,
Gdzie gromy biją.

Spełnijmy puchary do dna
I życzymy sobie nawzajem
Szczęśliwych lat!

Niech myśl powstanie swobodna
I światło błysnie nad krajem!
Bogu w opiekę oddaję
Przyszłości kwiat.

Tych naszych braci, co cierpią,
Miłością naszą podnieśmy
Męczeński ród.
Niech od nas pociechę czerpią,
Nadzieję w ich sercach wskrześmy,
Wołając: jeszcze jesteśmy,
Niech żyje lud!

BEZ ODPOWIEDZI

Nie znali nigdy, co to jest dostatek,
Lecz znali tylko, co trud i potrzeba;
Nieraz im brakło mleka w piersiach matek,
Nieraz im brakło na zagonach chleba.
Nie znali nigdy tej pomyślnej doli,
W której bez troski o jutrzejszą strawę,
Duch ludzki z mróku budząc się powoli,
Na światło oczy otwiera ciekawe,
Gdyż od kolebki czatowała bieda,
Co duszy dziecka rozwinąć się nie da.

Los im poskapił wszystkich swoich darów
I dał im środków do walki za mało ...
Prócz życia trudów i życia ciężarów,
Jedno im prawo do życia zostało;
Jednak znosili swą nędzę cierpliwie
Jako istnienia warunek niezmienny;
Marząc o przyszłym a bogatszym żniwie,
Zapominali o trosce codziennej,
Żądając wzamian za pracę mozolną,
By im wraz z dziećmi wyżyć było wolno.

Lecz teraz próżne wszelkie wysilenia!
Zadna wytrwałość zbawić ich nie może,
Głód ciała w żywe szkielety zamienia,
Kładąc w ciemnościach na zmrożone łoże.
Dziś nie o sytość, lecz o żywot idzie,
Gdyż to nie zwykłej nędzy widmo blade,
Lecz śmierć głodowa w całej swej ohydzie
Tysiącom rodzin zwiastuje zagładę,
W zimowej nocy wchodzi w ich mieszkania,
Przynosząc męki wolnego konania.

To śmierć głodowa! przy zgasłym ognisku
Zasiada, wlokąc całun lodowaty,
I matkom dzieci porywa z uścisku,
I nagie trupy zostawia wśród chaty,
I kroczy dalej w upiöra postaci,
Rozpościerając gorączkowe dreszcze ...
A zmarły wstaje, by zabijać braci,
Za krzywdy swoje mszcząc się w grobie jeszcze,
I rozszerzając zaraźliwe tchnienia,
Idzie do ludzi przemawiać sumienia.

A ci, co jeszcze wśród mogił zostali,
Aby oglądać męczarnie swych rodzin,
Trawieni ogniem, co wnętrzości pali,
Mierzą ostatek uchodzących godzin,
I patrzą w otchłań ... szukając gdzieś na dnie
Nie uchwyconej ocalenia mocy,
Ale myśl w próżni kręci się bezwładnie,
I gaśnie w głuchej odrętwienia nocy ...
I, nic nie mogąc odnaleźć, nędzarze
Chylą z rozpaczą wychudzone twarze.

Wiedzą, że wszędzie ta sama dokoła
Głodowej śmierci konieczność straszliwa,
Ze brat ratunku udzielić nie zdoła,
Bo sam go teraz daremnie przyzywa.
Więc milczą, patrzą na śniegu posłanie,
Słuchają wiatru żalobnego wycia,
I w ciemność smutne rzucają pytanie:
„Gdzie jest ich prawo najświętsze do życia?
„Czemu są na śmierć skazani i za co?
„Gdy na chleb ciężką zarabiali pracą“.

Kto im odpowie na ten wykrzyk głuchy?
Ludzkość zostanie w odpowiedzi dłużną,
Bo choć szlachetne poruszają się duchy
I miłosierdzie pospieszy z jałmużną,
Rzucone wsparcie nie rozstrzygnie w niczym,
I w niczym ciemnych pytań nie rozświeci,
I ziemia dalej z sfinkсовym obliczem
Będzie pożerać pracujące dzieci,
A ludzkość będzie roztrząsać ciekawa,
Ten zgrzyt w harmonii społecznego prawa.

WSRÓD PRZEŁOMU

Na niebie odbłask łun ognistych płonie
I ciemne noce opromienia krwawo,
Skrwawione widma wyciągają dłonie,
W poświście wichru lecą z mgieł kurzawą,
Powietrze jęków wypełniając wrzawą;
Nad krwią przelaną, która świeżo dymi
Z ciemności kształt się wynurza olbrzymi...

Coraz wyraźniej z cieniu się wychyla,
Jak geniusz wschodnich powieści złowrogi,
Jak nowy Xerxes lub nowy Atyla,
Na tle czerwonym mordów i pożogi
Z wozu swym mieczem w świat zakresła drogi,
A wysyłając hordy swe na rzezie,
Łańcuchy świata w podarunku wiezie.

Wyciąga rękę, a ta dłoń straszliwa
Po coraz nowe sięga wciąż zabory,
Na bój śmiertelny ludzki ród wyzywa,
Ten ród leniwy, rozbity i chory;

Co do podziemnej chce się ukryć nory,
Byle choć jedną przedłużyć godziną
Ten żywot zbiegów, co bez walki giną.

Ale napróżno w strachu się poniża,
Czyha nań hańba, niewola, zatrata,
Rydwan zwycięzcy powoli się zbliża
I piersi ofiar dyszących przygniata;
Coraz to groźniej tocząc się wśród świata,
W dziejach ludzkości robi nowy przełom,
I ku strasliwym popycha ją dziełom.

Próżno się cofa i wzdryga i chowa:
W obronie życia musi dobyć miecze;
Mszcząc przeszłe winy Nemezis dziejowa
Strwożone ludy już za włosy wlecze,
A wszystkie prawa boskie i człowiecze
Padają w gruzy, więc iść naprzód muszą
Zabijać ręką ... i myślą ... i duszą ...

Kości rzucone! już się losy ważą,
Losy narodów na wypadków szali,
I przyszłość świata z zasłoniętą twarzą;
Nieznane bóstwo na ognistej fali
Pośród rozruchu posuwa się dalej ...
A przeszłość smutna, miesięczna i blada
Topnieje przed nią i w ciemność zapada.

Świat dawny tonie w legendowym mroku
Z całą rozwianą swoich marzeń tęczę,
Jak księżyc w czarnym nurzu się obłoku

Pokryty siecią srebrnej mgły pajęczą,
I tylko po nim smutne skargi dźwięczą,
I tylko jeszcze jasność po nim błyska,
Co czarodziejsko oświeśla zwałiska.

Na widnokregu gasnących pokoleń
Snują się jeszcze idealne mary;
Brzmia dotąd hasła duchowych wyzwoleń,
Hymny poświęceń, braterstwa i wiary;
Jeszcze gdzieniegdzie jaki rycerz stary
Nad głową wznosi sztandar swój niezłomnie
I na wyłomie ginie bezpotomnie!...

Jeszcze gdzieniegdzie jaki sługa boży
Chwałę zmartwychwstań głosi z nad mogiły.
W blask się wpatrując zachodzącej zorzy;
Ale już nowe, rozkiełznane siły
Światła niebiańskich widzeń pogasiły,
I nad mdlejącym dziś królestwem ducha
Noc się rozszerza, ponura i głucha.

W zaćmieniu ducha, w dzikich żądz zamęcie,
Pod tajemniczą ciemności zasłoną,
Nastaje nowych żywotów poczęcie,
Co rozdzierają macierzyńskie łono,
By mieć narodzin chwilę przyspieszoną,
I prędzej zgarnąć po przeszłości spadek,
I szereg ciemnych rozwiązać zagadek.

Tak więc ludzkością wstrząsają do głębi
Męki, konania i bóle porodu,
Rój nowych tworów wicherzy się i kłębi

Zrodzone z matki nędzy, z ojca głodu
Straszliwe widmo dźwiga się ze spodu,
I gdzie zwycięzców dojrzy przy biesiadzie,
Dłoń im kościstą na ramieniu kładzie.

Gość nieproszony wciska się do koła,
Płosząc pijane zdobywców zachwyty:
„Zróbcie mi miejsce“, grzmiącym głosem woła,
„Wy macie sławę, wielkość i zaszczyty,
„Wy ucztujecie, a jam nie jest syty!
„Dajcie mi zaraz waszą część grabieży:
„Wszystko, co macie, do mnie dziś należy!...”

„Co? wy własności chcecie być stróżami,
„Wy mi mówicie, że ja prawo gwałcę!
„Siła przed prawem! nauczacie sami,
„Ta sama słuszność w mieczu, co i w pałce...
„Ja waszą mądrość rozwijam i kształcę,
„I chcę mieć przystęp do uczty swobodny,
„Bo jestem silny... i chciwy... i głodny!”

Ten krzyk podziemne powtarzają chóry,
I po przepaściach huczy wciąż wymownie;
Tłum barbarzyńców dźwiga się ponury
I gwałtem wkracza na świata widownię,
Wstrząsając w ręku zapalone główne,
Aby ślad swego pochodzenia na ziemi,
Ogniami zaraz znaczyć czerwonymi.

Na przedzie biegnie nagim świecąc ciałem
Nawpół bogini, nawpół zalotnica,
Bachantka wiedza, dzikim tchnąca szałem;

W bezwstydnym uśmiechu przystroiwszy lica,
Tłumów namiętne pragnienia podsycę,
I wiodąc naprzód zbuntowane zgraje
Nowe swym uczniom przykazania daję:

„Precz z marzeniami dziecinnego wieku,
„Co ponad ziemskie wzlatują wybrzeża!
„Precz z urojonym anielstwem w człowieku!
„Górą konieczność, co losy odmierza
„Wedle sił, zachceń i zmyślności zwierzał
„Precz z ideałem! dziś przewodzą światom
„Bóg ślepej woli . . . bóg chaos . . . bóg atom! . . .“

„W imię tej trójcy, w imię tej nicości,
„Która jak Saturn pożera swe plemię . . .
„Idźcie rozdzierać matczyne wnętrza!
„Pługiem zniszczenia idźcie zorać ziemię!
„Zrzucicie z swych ramion obowiązków brzemię,
„Stargajcie więzy przesądów dziejowe,
„I burzcie starą społeczeństw budowę! . . .“

„Kościół, ojczyzna, własność i rodzina,
„Niech wszystko znika w wezbranej powodzi:
„Niech ginie wielkość, zasługa i вина
„Dawny dzień minął, nowy już nadchodzi!
„Wy go zwiastujcie, wyzwolenicy młodzi,
„I zamieniacie świat cały w pustynię,
„By nowe życie wzeszło na ruinie! . . .“

„Niech runie gmach ten społecznej obludy,
„Chytrych kramarzy podpierany dłońią,
„Co blichtrzem swobód wyzyskując ludy

„Własnego tylko samolubstwa bronią,
„I wietrzą zdobycz i sięgają po nią . . .
„A gdy w niej szpony zatapiają sępie,
„Prawią o cnocie, sumieniu, postępie! . . .“

„Dość tej komedii harmonii i zgody!
„Którą świat bawia wolności fałszerze,
„Gdy uciśnione sprzedają narody,
„I wchodzą w tajne z bezprawiem przymierze!..
„Dość hipokryzji, co porządku strzeże,
„A wobec gwałtu korzy się i płaszczy,
„Ofiarom zionąc przekleństwa z swej paszczy! . . .“

„Precz z ową maską moralnego ładu,
„Co twarz rozpusty pokrywa skalaną;
„Precz z marzycielstwem nikczemnego gadu,
„Co kwiaty uczuć brudzi swoją pianą:
„Niechaj do walki z nagą pierśią staną,
„Ludzie i czyny, myśli i uczucia,
„I mierzą głębię własnego zepsucia! . . .“

„Potrzeba formę rozkruszyć przeżyta,
„Gdy się w niej brudne robactwo zasklepi,
„I strumień życia w nowe pchnąć koryto,
„Gdzie będzie płynął i silniej i lepiej . . .
„Więc śmiało naprzód, wykonawcy ślepi!
„Bezwiednych potęg, co w ciemnościach drze-
[mia,
„Burzcie kształt dawny i równajcie z ziemią! . . .“

DO SOKOŁÓW

Do lotu, bracia Sokoły!
Rozwińcie skrzydlate hufce,
Gdzie blask jutrzeńki wesoly,
Tam dążcie w swojej wędrówce,
Do ciał i duchów rozkwitu,
Do pełni ludzkiego bytu!

Zatoczcie nad naszą ziemią
Słonecznych polotów kręgi,
I budźcie tych, którzy drzemią,
Hasłem wskrzeszonej potęgi,
I tchnijcie ożywcze moce
W smutne dziedzictwo sieroce.

Z uczuciem szlachetnej dumy
Prowadźcie, o przewodnicy!
Zwątłone, skarłałe tłumy
Do czystej życia krynicy,
Aby się rzesze napiły
Z źródeł młodości i siły.

Niech potężnieją ramiona!
Niech się rozrasta szeroko
Pierś silną wolą natchniona,
A męstwem zapłonie oko.
Cieleśna niemoc niech znika,
Z nią nędzny duch niewolnika!

Z fizycznej siły wykwita
Sił wyższych czynność społeczna,
I mądrość w środki obfita,
I miłość ludzi słoneczna,
I wielkich poświęceń zdolność
Za wiarę, ojczyznę, wolność.

Więc naprzód, wierna drużyno!
W świetlanym kap się błękiecie,
A dla tych, co marnie giną,
Chcąc nowe wywalczyć życie,
Z niezłomną wolą postanów
Przemienić karły w tytanów!

S Z K I C

DO WSPÓŁCZESNEGO OBRAZU OFIAROWANY
JACKOWI MALCZEWSKIEMU

W ogrodzie, strojnym w rzeźb klasycznych sze-
[reg,

Pełnym róż, mirtów, jaśminów, tuberoz,
W gronie wykwintnych paziów i pasterek
Renesansowy cicho stąpa Eros.

Ostrożnie leci jego złota strzałka
Pomiędzy pary rozmarzone słodko,
By nie skaleczyć pieszczonego ciała,
A tylko tajną podrażnić łaskotką.

Wytworne damy, poeci, artyści,
Sztuki smakosze, dworacy i paze,
W cieniu laurowych grupują się liści,
W półtonach płynnych, w mistrzowskim obrazie.

Lekkie westchnienia, przelotne uśmieszki,
Spojrzenia, słodycz niosące przez chwilę,

Wdzięczne pokusy, eteryczne grzeszki,
Krażą w powietrzu, jak płóche motyle.

Niedomówione wśród urwanych szeptów,
I niby siatką spowite pajęczą,
Z ust estetycznej alchemii adeptów
Słowa muzyką przytłumioną brzęczą.

I płynie myśli subtelny aromat,
Wyszlachetniony w cieplarnianej szkole,
Przystępny tylko dla wybranych gromad,
Odczuwających nastroj i symbole.

I w estetycznym roztopione smutku,
Co z prozy życia powszedniej wyrwany,
Nadobne pary szepcą po cichutku,
Do bladolicyj wzdychając Nirwany.

Jest im niezbędny wśród wrażeń przesytu
Gorzki, trujący nicestwa narkotyk,
Więc rozpaczają nad marnością bytu...
I w nowy zaraz przechodzą erotyk.

* * *

Poza kratami ogrodu w ulicy,
Tłum się gromadzi i przed bramą staje...
Jacyś nieznani barbarzyńcy dzicy...
Niesforne, brudne i obdarte zgraje.

Pomiędzy nimi nie Eros różany
Na blade twarze rzuca blask przewodni,
Lecz jakaś wiedźma, ubrana w łachmany
Potrząsa drzazgą płonącej pochodni.

W żrenicach krwawe zapala on błyski
Widokiem bogactw kuszących ogrodu,
I budzi instynkt poziomy i niski,
Brzydkie uczucie zwierzęcego głodu.

Twarde ich pięści zaciska kurczowo,
Jadem zawiści serc przyspiesza bicie,
Na usta kładzie złorzeczenia słowo
I ten głos w ostrym wydobywa zgrzynie:

„Gdy nasze dzieci wśród wilgotnych ciemnic
„Duszą się, żądne mleka i powietrza,
„Gdy nasze siostry na chlebie najemnic
„Nie mogą wyżyć, nam sztuk waszych nie trza!

„Kto w jarzmie pracy nie dośpi i nie zje,
„Gdy go z rodziną przyciska potrzeba,
„Klnie waszą mądrość i waszą poezję,
„A łaknie ziemi, powietrza i chleba.

„Was nie obchodzą nic losy milionów,
„Ani nędzarzów pospolite troski,
„Przeto w przepychu woni, barw i tonów
„Do szczętu zagon trwonicie ojcowski.

„Lubicie ludzką wzruszać się niedolą,
„Gdy ją widzicie w książce lub na płótnie,
„Ale was rany nasze nie zabolą
„I trud żywota obcy wam, o trutniu!”

Tak coraz głośniejsze wykrzykuje tłuszcza,
Patrząc na państwo fantazji bogate

I coraz dziksze spojrzenia zapuszcza
W siedzibę zbytku, przez ogrodu kratę.

Ale w ogrodzie estetyczne damy,
Trubadurowie, sztukmistrze i pазie
Nie słyszą burzy, co huczy u bramy,
Tonąc w lubieżno-mistycznej ekstazie.

WCIELENIE

Ignacemu Pieniążkowi

To, co niegdyś w ideału sferze
Snem jedynie było marzyciela,
Z biegiem czasu kształt widomy bierze,
I w dążenia ludzkości się wciela.

Jasną marę nieuchwytną wprzód,
A tak pełną rajskiej szczęścia wróżby,
Wywalczają krwią i łzami ludy,
I do ziemskiej zaprzęgają służby.

Ow sen wieków, długo niedościgły,
Co rozjaśniał ciemne marzeń noce,
Staje nagle wśród świata zastygły,
I zamknięty w cielesnej powłoce.

Krótki triumf! Po zachwytu chwili,
Jaka wieki oczekiwań płaci,
Ci rycerze, co za nią walczyli,
Nie poznają wielbionej postaci.

Widzą z żalem, że wszystko, co w darze
Wniosła na świat wśród swego pochodu,
Krzywd i gwałtów z kart dziejów nie zmaże
I ludzkiego nie nasyci głodu.

ZAPOMNIJ O TYM!

Zapomnij o tym, żeśmy kiedyś żyli
Bezplodnym życiem bez szczęścia i sławy;
Zapomnij o tej próżnych pragnień chwili,
Po której w piersiach ślad pozostał krwawy.
Zapomnij o tym, że fałszu słuźalce
Świętości nasze obrzucili błotem,
Ześmy padali w rozpaczliwej walce...

Zapomnij o tym!

Lecz myśl jedynie, że ducha tęsknotą
Przedrzem się w czasów szczęśliwszych zaranie
I że z nas każdy weźmie zbroję złotą
I w dniu zwycięstwa na wyłomie stanie;
Ze miłość nasza nie zejdzie do grobu,
Lecz znów ożyje kiedyś w wielkim czynie,
I że nas szczęściem opromieni obu...

To myśl jedynie!

IV. Refleksyjne

PUBLICZNOŚĆ I POECI

PUBLICZNOŚĆ DO POETÓW

Wiecznie śpiewacie na tę samą nutę!
Śpiewacie rozpacz dziką i bezbrzeżną,
Serca przedwczesną goryczą zatrute
I melancholią mglistą a lubieżną,
Senne miłości szpilkami przekłute,
Rany zadane jedną rączką śnieżną,
I omijacie skrzętnie każdą radość,
Strojąc się w duchów księżycową bladość.

Po tysiąc razy te same westchnienia
Ślecie do oczu niebieskich lub czarnych,
Do drobnej nóżki, krągłego ramienia
I różnych kształtów mniej lub więcej zdarnych,
I umieracie jak Tantal z pragnienia
Pełni poświęceń i bohaterstw marnych,
A choć się który czasem w rymie potknie,
To jednak lubej ręką swą nie dotknie.

Zawsze, ach, ona! z tą twarzyczką cudną
Serca wam bierze na straszne tortury,
Spojrzy się... przeżyć jej spojrzenie trudno!
Odwroci oczy... świat się kryje w chmury,
Wszystko stracone, ona jest obłudną;
Dokoła ciemność i smutek ponury!
I nie zostaje nic... o srogi losie!
Jak ginać w mękach na sonetów stosie.

Wiecznie te same klęski bezprzykładne,
I te piękności boskie, nadzwyczajne:
Te bujne włosy, te ruchy układne,
Różane usta, słodkie, życiodajne,
Te oczy pełne miłości a zradne,
Które wyczerpał brylantowy Heine,
Te brwi, te rzęsy, te perłowe ząbki,
Te kwiaty w włosach i szat białe rąbki.

I pełno wszędzie słów pieszczonych szmeru,
Co płyną jako śpiewne wodospady,
I pełno woni zbyt słodkiej eteru,
Pełno lamentów, zniszczenia, zagłady,
Zmarnowanego życia i papieru,
I potępieńców pośmiertnej biesiady...
Co wszystko snuje się z jednego wątką,
Z kapryśnej pozy ładnego dziewczątka.

Dosyć już mamy tych rozkoszy dreszczów,
I tych uśmiechów niby ironicznych,
Bładych księżyców, mgły i krwawych deszczów,
Niezrozumiałych potęg demonicznych;

Dosyć już mamy tych labędzich wieszczów,
Którzy konają w bólach ustawicznych,
I tych ubóstwień, rozanień, szataństw,
I tym podobnych rymowych szarlataństw!

Co nam do tego, że wam bohaterki
Przysięgną miłość, a potem was zdradzą?
Zapewne są to dość znaczne usterki,
Lecz wartoż za to świat malować sadzą?
I wulkaniczne puszczać fajerwerki,
Co się pikomu na nic nie przydadzą?
Wam się to piękne zdaje w waszym rymie,
A my się za to musim krztusić w dymie.

Miłość jest piękną bezwątpienia rzeczą,
I ma w poezji stare jak świat prawa;
Lecz trzeba, żeby miała twarz człowieczą,
Żeby tryskała życiem jej postawa:
Śmieszna się staje, gdy ją okaleczą
I kiedy wyjdzie wybladła i krwawa.
Coby ach! na to Afrodyte rzekła,
Gdyby widziała was i wasze piekła!

Nie zrozumiałaby zapewne wcale,
Ze przemawiacie miłości językiem,
Widząc was w jakimś Orestowym szale,
Z spojrzeniem błędnym, pochmurnym i dzikim,
Na samobójców chwiejących się skale,
Urągających niebu wykrzyknikiem...
Pewnieby pierś swą zasłoniła twardą
I porzuciła was z gniewem i wzgardą.

Wprawdzie dziś ona, ta naga, ta grecka,
Złej już opinii na świecie używa:
Sentymentalność górą dziś niemiecka,
Co się w mgłach kąpie i we mgłach rozplywa,
I cała młodzież porządna, kupiecka,
Przed jej posągiem oczy swe zakrywa
I marzy wsparta na łokciu w sklepiu
O idealnym bardzo kaftaniku.

Wiemy, że trzeba kształty posągowe
Wypełnić wyższym tchnieniem ideału,
Na nagi marmur rzucić światło nowe,
Moc czarodziejską dać pięknemu ciału;
Wierzimy także w zachwyty duchowe,
Ale nie chcemy wiecznego rozdziału
Pomiędzy duchem nieschwyconym w locie
A biednym ciałem, co się tarza w błocie.

Chcemy tej zgody, harmonii i ciszy,
Która piękności pierwszym jest warunkiem,
Chcemy tych dźwięków, które każdy słyszy
Na swoich ustach drżących pocałunkiem;
Ale nie wrzasku szalonych Derwiszy,
Co upojeni narkotycznym trunkiem,
Kręcą się w kółko bez tchu i pamięci
I myślą, że to świat się cały kręci.

Chcemy tych natchnień, coby w życia zdroju
Ukazywały nową piękną stronę,
Któreby naprzód biegły w każdym boju
Pokrzepiać serca słabe lub zmęczone,

Coby rzeźbiły w klasycznym spokoju
Dumne postacie wawrzynem wieńczone,
I podnosiły wszystkie ludzkie cele,
Zdrowe pragnienia budząc w zdrowym ciele.

Lecz wy, księżycu kochankowie smutni,
Nie macie na to w piersiach dosyć siły!
Każdy z was wsparty na złocistej lutni,
Wpół pochylony do ciemnej mogiły,
Słucha z przestachem dzikiej wichrów kłótni,
Nucąc o widmach, co mu się przyśniły;
A że ma głosik łagodny i cienki —
Lubią go słuchać młodziutkie panienki.

Przez to zyskuje do wielkości prawo,
I na miłostkach jako wieszcz wyrasta,
Spogląda łzawo i śmieje się krwawo,
Bo już go chytra zdradziła niewiasta.
Pogardza światem, nauką, zabawą,
Tylko się gorzko uśmiecha i basta;
I poemata pisze ironiczne
Bardzo piekielne, choć nie gramatyczne.

Ironia wprawdzie ma swój wdzięk oddzielny
I może zasiać na Parnasu szczycie;
Dużo jest prawdy w śmiałości bezczelnej,
Dużo piękności w jej bolesnym zgrzycie,
Gdy się na przedmiot targa nieśmiertelny,
Widząc, że wcielić nie zdoła go w życie,
Lub gdy odkrywa serc ludzkich sprzeczności
I śmiechem godzi dwie ostateczności.

Ale ironia, o panowie mili! —

To nie gra w piłkę przyjemna i łatwa,
Któraby mogła zawsze w każdej chwili
Bawić się z szkoły wychodząca dziatwa;
Ten jeszcze Heinem nie jest, kto się sili
Śmiać się i płakać, i w rymie pogmatwa
Dużo utartych wyrażen cynizmu
Z romantycznego wziętych katechizmu.

Dlatego radzim wam, wieszczowie nasi,
Niech wasze Muzy w locie swym odpoczną;
Niech się z was żaden nie dręczy, nie kwasi,
Ani też skacze w otchłań zwątpień mroczną
Dla tej niewdzięcznej Maryni lub Kasi,
Niechaj nie pędzi w przestrzeń nadobloczną
Roztrącać gwiazdy . . . bo nam tchu nie staje
Zdążyć za wami w tak dalekie kraje.

Chciejcie być skromni, zrozumiali, prości,
Panujcie myślą nad słuchaczów gminem,
I budźcie w sercach pragnienie piękności;
Niechaj pieśń wasza będzie dobrym winem,
Coby nas mogło zagrzewać w starości;
Lecz nie szukajcie klótni z Apolinem,
I gdy was rada nie powstrzyma nasza,
Wspomnijcie sobie na losy Marsjasza!

POECI DO PUBLICZNOŚCI

Z pokorą nasze pochylamy głowy
Przed twoim sądem, o publiko gniewna!
Bo chociaż wyrok bezwzględnie surowy,
Jednak jest słusznym w gruncie, to rzecz pewna;
I przyznać musim, że nasz chór harfowy,
I nasza nuta szpitalno-cerkiewna
Z całym przyborem schorzałej fantazji,
Jest dziś najgorszym rodzajem inwazji.

Po zgasyłych wieszczach w ręce słabe, drżące,
Wzięliśmy lutnie, w których pieśń czarowna
Spoczywa w tonów ubrana tysiące,
Boleścią całych pokoleń wymowna.
Smutno nam słyszeć te echa mdlejące,
Smutno nam wiedzieć, że tam moc cudowna,
Potrząsająca niegdyś ludzi tłumem,
Niezrozumiałym stała się dziś szumem.

Straszno nam strun tych dotykać natchnionych,
Co się przeżyły jako serca żywe,
Co miały siłę rozbudzać uspionych,
I smagać biczem umysły leniwe,

Straszno nam stanąć wobec tych zniknionych,
Rozrzucających piękności prawdziwe,
I pieśń podnosić wśród gawiedzi syków,
Pieśń przygnębionych wstydem niewolników.

Znamy swą niemoc, węża, co nas dławi
I opasuje w swe skrety potworne,
Znamy ten obłąd, co nas zwolna trawi,
I z piersi dźwięki dobywa niesforne,
Wiemy, że śmieszni jesteśmy, choć łzawi,
I tak bezkształtni, jako mgły wieczorne,
Ale uznając wszystkie nasze winy,
Chcemy wam złego odsłonić przyczyny.

Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wiek bez marzeń, złudzeń i zachwyty,
Obojętnego na widok piękności,
A wędrującego z nudy i przesytu,
Wiek, co wczesnej doczekał starości,
Sam podkopawszy prawa swego bytu,
Wiek, co siły strwonił i nadużył,
Nic nie postawił, chociaż wszystko zburzył.

Wzrosliśmy także wśród dziwnego świata,
Co się zapala i uniesień wstydzi,
Co każdym wzniosłym uczuciem pomiata,
I wszędzie szuka śmieszności i szydzi;
Bawi go jeszcze arlekińska szata,
Lecz ani kocha, ani nienawidzi!...
I to jest nasze największe przekleństwo:
Otaczające nas dziś społeczeństwo!

Jego bezdusznna, chłodna atmosfera,
Już od kolebki duszę nam otacza,
Dziewiczą barwę szyderstwem z niej ściera,
Zadnej świętości marzeń nie przebacza;
Nic więc dziwnego, że ogień zamiera,
Ze się fantazja krzywi i wypacza,
Bo tam, gdzie w sercach bezmyślność i bierność,
Krzewić się może jedna tylko mierność.

Każda epoka, co ze swego łona
Wydała pieśni potężnej olbrzyma,
Nosila wyższej idei znamiona,
Pewien wzór piękna mając przed oczyma
I sama była miłością natchniona,
Drżąca jak lutnia, którą śpiewak trzyma,
I on dla tego wielkim być nie przestał,
Ze miał słuchaczy serca za piedestał.

On zbierał tylko marzenia tęczowe,
Które duch ludu z piersi swej wysnuwał,
Tylko im polót dawał i wymowę,
Ujmował w kształty i w przyszłość posuwał;
Więc kiedy stworzył potężną budowę,
Każdy jej wielkość i prawdę odczuwał,
Bo znalazł wszystko tam ubrane w ciało,
Co w jego piersi niewyraźnie tlało.

Potrzeba było młodzięnczego wieku,
Pełnego ognia, wrażeń i prostoty,
Wykarmionego na cudownym mleku,
Zbrojnego w wszystkie bohaterskie cnoty;

Potrzeba było, ażeby w człowieku
Wykwitła siła nadziemskiej istoty,
Co dumnym czynem w niebiosą się wdziera,
Ażeby wydać ślepego Homera!

Potrzeba było dla niego tych czasów,
W których lud cały, w pieśni rozkochany,
Słuchał jej chciwie wśród laurowych lasów,
I uzupełniał wątek podsłuchany.
I kiedy z długich pokoleń zapasów,
Snuł się poemat wielki, niezrównany,
I gdy bohater i twórca rapsodu
Zarówno byli chlubą dla narodu!...

I zawsze w wieków minionych pochodzie,
Z duchem społeczeństw szli śpiewacy w parze;
Co zakwitało w ludzkości ogrodzie,
To pieśń na swoje przeniosła ołtarze.
Grek hołdujący jasnych bóstw urodzie,
Znalazł swój liryzmieszczony w Pindarze,
A ile ognia tlało w jego łonie,
Tyle rozkosznych brzmień w Anakreonie.

Tak samo znowu, gdy po nocy długiej
Świat się odmłodził wiarą i krwią nową,
Gdy barbarzyńskiej ciosami maczugi,
Zgruchotał całą przeszłość posągową
Kiedy cudownie odżył po raz drugi,
Z całą fantazją, świeżą, silną, zdrową,
Zaraz zaświecił podwójnym brylantem —
Wdzięcznym Petrarką i surowym Dantem.

Szekspir, gdy stanął na dramatu szczycie,
Miał pod nogami wielką ludzi wrzawę,
Wybuchające namiętnością życie,
Wielkie gonitwy o miłość i sławę.
A Goethe zastał myśl ludzką w rozkwicie:
Po złote runo wolności wyprawę,
Żądę ziszczenia ideałów szczytnych
I uwielbienie wzorów starożytnych.

Lecz dziś gdzie znaleźć jaki sztandar wielki,
Któryby porwał małoduszne zgraje?
Wszechwładnej niegdyś cudów rodzicielki,
Młodzieńczej wiary świat już nie wyznaje;
Nikt się nie zwraca do tej karmicielki,
Co sercom ludzkim wieczną młodość daje;
I nie zostało nic z anielskich wizji,
Prócz niedowiarstwa albo hipokryzji.

Piętrzą się jeszcze gotyckie świątynie
I wieżycami pną się między chmury,
I dym kadzideł jeszcze w niebo płynie,
I lud się modli zimny i ponury;
Lecz nad tym jękiem, co bez echa ginie,
Nie ulatuje anioł srebrnopióry,
I w chore serca pociechy nie leje,
I chłód śmiertelny z ciemnej nawy wieje...

Zabrakło wiary, zabrakło płomienia,
Który ożywiał niegdyś mężów dawnych,
Zabrakło cudów, zbrakło pokolenia,
Co cud mieściło w piersiach w stal oprawnych.

Dzisiaj choć widzimy smutne poświęcenia,
Choć widzimy ludzi krwią swą marnotrawnych,
Przecież to wszystko tak marnie opada,
Jak kwiat, któremu wewnątrz robak zjada.

Miłość ojczyzny? ... Ta dziś pustym dźwiękiem,
Co nie brzmi wcale, albo brzmi szaleństwem;
Nasi mężowie, śpiąc na łożu miękim,
Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem,
Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
I obrzucają swój naród przekleństwem
Za to, że śmiał się targnąć na kajdany
I drgnął na chwilę, własną krwią oblany ...

Miłość ojczyzny! To przedmiot zużyty,
I pogrzebany z poległym rycerstwem,
Starannie w trumnie gwoździami przybity,
I przytrząśnięty pleśnią i szyderstwem;
A nad nim klęczy postać Jezuita,
Co umarłego gorszy się kacerstwem,
I lud poucza, że modna pobożność
Tę ziemską miłość uważa za zdrożność.

Miłość ojczyzny! ... Staroświeckie tema,
I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem,
Zewsząd mu krzyczą wielkie anatema,
Pokryte słodkim świętoszków lamentem;
Więc żeby wznawiać rzeczy, których nie ma,
Trza być półgłówkiem, albo też studentem
I z Don Kiszotem błdzić po manowcach,
By kruszyć kopie na spłoszonych owcach.

A dziś podobna marzeń wybujałość
Jest w naszym świecie wielce karygodną,
Nasze powagi widzą w tym zuchwałość,
Która być może w straszne skutki płodną;
Przyznają wtedy pieśni doskonałość,
Gdy jest jak oni bezbarwną i chłodną
I tak strzyżoną, jakby ogród włoski,
Mając ucięte i myśli i zgłoski.

Więc nie dziw, że nikt ręką swą nie sięga
Po ten skarb w lutni ukryty ojczystej,
Dla martwych widzów martwa to potęga,
I może kruszyć tylko pierś lutnisty,
I stać zamkniętą, jak ta czarów księga,
Przez długie wieki w ciszy uroczystej,
Póki epoka nie nadejdzie nowa,
Godna odczytać jej cudowne słowa.

Cóż więcej znaleźć? ... Sława? ... tej nie mamy,
Wszyscy mniej więcej jesteśmy niesławni,
I nosimy znaczne na honorze plamy,
Pod każdym względem zawsze niepoprawni,
O czystą wielkość zwykle mało dbamy,
I wtenczas właśnie jesteśmy zabawni,
Gdy się stroimy w kawałek łachmanu,
Co się nazywa dziś rozumem stanu.

Ten rozum stanu, wynalazek złoty!
Lepszy niż jaki płaszcz nieprzemakalny.
Pod nim bezpiecznie można szydzić z cnoty,
I podkopywać przesąd idealny,

Można ojczyźnie różne czynić psoty,
I huk w nagrodę dostać triumfalny,
Bo on zasłonić zdoła każdą sprzecznosc —
Wszelki egoizm, wszelką niedorzeczność.

Istny talizman, które dobre wróżki
Roznoszą same jako płód krajowy,
I polskiej szlachcie kładą pod poduszki,
A ta się naraz budząc z bólem głowy,
Na suchych wierzbach umie szczepić gruszki,
I cycerońskiej nabiera wymowy.
Tak więc, bez pracy, nauk i zachodu
Kraj się zapełnia gwiazdami narodu.

Przedmiot gotowy dla wieszczów przyszłości,
Będzie go można w gładkie rymy włożyć,
I parafialne pozbierać wielkości,
I epopeję narodową stworzyć,
Co pozostanie Iliadą śmieszności...
Lecz my nie pragniemy owej chwili dożyć,
I wolim raczej na swych lutniach drzymać,
Niż próżny pęcherz powietrzem nadymać.

Cóż więc zostaje?... Pieśni erotyczne?
Ale i dla tych braknie w świecie wzorów,
Pogasły w piersiach ognie romantyczne,
Pełne świetności i pięknych kolorów,
A miłość cierpi suchoty chroniczne
I potrzebuje pomocy doktorów,
Co podtrzymują jej zbyt wątłe życie,
Przez różnych środków drastycznych użycie.

Nasze anioły i nasze kobiety
Są w sentymenta ubrane po kostki,
Lubią poezję zajaść na wety
I lubią także bawić się w miłostki,
Któżby wyliczył ich wszystkie zalety?
Jednej im tylko brak jeszcze drobnostki,
Prawdy w uczuciu... Lecz to rzecz zbyteczna,
Nie modna dzisiaj, nawet niebezpieczna.

Tym, czym są teraz, nie wzniecą tej walki,
Co się toczyła koło murów Troi,
Zadna nie zginie z rąk swojej rywalki,
Zadna się losów Julietty nie boi,
Bo każda z wdziękiem norymberskiej lalki,
W balowej sukni na wystawie stoi
I z pochyloną, rozmarzoną główką,
Czeka na kupca, co płaci gotówką.

A Romeowie nasi nowocześni,
Są jak z żurnalu wycięte figurki,
Tacy bezduszni, tacy bezcieleśni,
Ze z nich zaledwie zostały tużurki,
Które do taktu salonowej pieśni
Skaczą kadryle, walce i mazurki,
Wzdychając przytem od czasu do czasu,
Do diamentów, gazy i atlasu.

Krew tam nie kipi purpurowym warem,
I nie upiększa ciał swoim szkarłatem,
Zmysły namiętym nie owiane czarem
Nie zakwitają egzaltacji kwiatem,

A to, co wschodzi, jest tak zwiędłym, starym,
Tak arlekińskim i tak karłowatym,
Ze może służyć na pastwę dewotkom,
Co się pobożnym poświęcają plotkom.

Ale dla pieśni nie ma tam oparcia:
Tyle tam ziarna, co w pustym orzechu;
Te straszne dzisiaj czułych serc rozdarcia
Na drugi tydzień goją się w pośpiechu;
Do tragicznego zanim przyjdzie starcia,
Cała tragedia kończy się na śmiechu,
Skąd i poezja nasza nosi znamię,
Ze jest szyderczą, gdy uczuć nie kłamie.

Trudno wymagać, by na takiej roli
Wytrysła natchnień prawdziwych obfitość,
Trudno geniuszu żądać aureoli,
Tu, gdzie się tuczy sama pospolitość,
I trudno miłość śpiewać wśród swawoli,
Co budzi tylko wzdargę, albo litość,
Trudno, ach! żądać dziś Anakreona,
Kiedy świat cały na bezkrwistość kona...

Potrzeba śmiać się, więc na równi z wami,
I razem z wami nad przepaścią płasnąć;
Potrzeba kryć się ze swoimi łzami,
I z własnych uczuć głośno się natrzasać,
Karmić się codzien skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kąsać,
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać,
Potrzeba śmiać się... śmiać się i umierać...

Jeśli nas teraz potępić pragniecie,
Za naszą niemoc, nasze niedołęstwo,
Za rozrzucone poetyczne śmiecie,
Za skoszlawione pieśni czarnoksiężstwo —
Godzim się na to... Potępcie, gdy chcecie,
Przy was jest słuszność, przy was jest zwycię-
[stwo,

Lecz tę rozważcie smutną okoliczność:
Tacy poeci, jaka jest publiczność!

ODŁAMOWI PSYCHY PRAXYTELESA

Psyche, ty stoisz w marmuru tunice
Wiecznie niewinna, wiecznie zadumana,
Pierś się nie wzdyma i nie chmurzy lice,
Lecz jak cię mistrza uwięziło dłuto,
Przetrwałaś wieki natchnieniem owiana,
I do białego marmuru przykutą
Kołysze przeszłość jakąś tęskną nutą.

Na przechylonej z melancholią twarzy,
Co czystych linii przyświeca profilem,
Zadna namiętność usiąść się nie waży,
I wzrok, co trzymasz spuszczonej ku ziemi,
Najwyżej gonić może za motylem,
Co ponad kwiaty przebiegał wonnymi
Przed chwilą wieków — i znikł między nimi.

Ledwie rozkwitłaś w majowy poranek,
Już zawstydzona kwiatem własnych marzeń,
Kryjesz się, by cię nie zbudził kochanek,
I zalekniona, niepełna i trwożna,

Odsuwasz czarę niespokojnych wrażeń,
I sercu swemu powiadasz: nie można!
Na szelest liści mirtowych ostrożna.

Wolisz uwieczniać w dziewczęcej pogodzie
Myśl jasną, co się błękitami żywi,
I być odbiciem w ideałów zgodzie,
Tej duszy świata, co senna przez wieki,
Dziewiczych natchnień odblaskom się dziwi.
Przed żywszym światłem zamyka powieki,
Zanim ją zbudzi kochanek daleki.

Kamienna sestro! przebudź się na chwilę,
I sennych marzeń twoich treść opowiedz;
Dziś sama jesteś na plemion mogile,
A nie znać w tobie sierocej boleści,
Tylko jak urna zdobiąca grobowiec,
Która już żadnych popiołów nie mieści,
Zostałaś pełna tajemniczej cześci.

Kiedys spoczęła na milczącym głazie
Paryjskiej skały, inny świat cię witał,
Byłaś dla niego jako dźwięk w wyrazie
Co nakreślony Praxytela ręką,
Cały lud odczuł i w sercu doczytał:
Bo jego niebios świeciłaś jutrzrenką,
Odziana piękna plastyczną sukienką...

Więc z różanego Olimpu, jak dziecko
Zstałaś świadczyć idealnym marom,
I wyobraźnię rozkołysać grecką
Pieśnią słowiczych smutków i porywem

Tych żądz nieznanych, co każą Ikarom
Wiązać się skrzydeł anielskich ogniwnem
I nieśmiertelność mierzyć okiem chciwym.

Wtedy w około tytaniczne bajki
Liryzm w miękkości szatę poubierał,
I ten kraj ducha lśnił się od mozaiki
Promiennych bogiń, co na widzeń pianie,
Gdy jaki nowy bohater umierał,
Zakwitły żalem po zgasłym tytanie,
Przyszłości wonne rzucając podanie.

O! wtedy jeszcze brzaski wieków srebrnych
Niańczyły ziemię w kolebce lotusów,
Chimery ludów po ścieżkach podniebnych
Błęgały złotem i ogniem ziejące,
A Epos oczy otwarła Argusów,
I by je łowić w zodiakach tonące,
Bellerophony wysyłała lśniące.

Zycie się wtenczas przelewało hojnie
Nad ciasne brzegi wrzającej świata czary,
I ziemia z niebem w ustawicznej wojnie
Z Prometeuszów korzysta rabunku
I dzieli z nimi wieczność srogiej kary,
Aż w jakim długim, ciemnym obrachunku
Obie się strony zlały w pocałunku!

A z tych uścisków biegły nowe kształty,
Olbrzymie widma, pół bogi, pół karły,
I nowych wstrząśnień wulkaniczne gwałty,

Kruszyły dzikich Gigantów granity,
Aż się nareszcie w jeden proch roztarły
Te szalejące życiem Uranity,
A z mórz wytrysła tęczą Aphrodyty.

Nastała cisza wschodzącej pogody,
Świat się już nagiął do harmonii duchów,
I zaludniły się Kastalskie wody
Orszakiem dziewic, co przy lutni złotej
Nuciły pośród wiosennych podmuchów
Te pieśni, pełne pierwotnej prostoty,
Co echem ciemne ożywiały groty.

Poezja ciała weszła na tej niwie,
Jako kwiat pierwszy czarodziejskiej woni;
I upajała się nią ludzkość chciwie,
Gromadząc wszystkie promienne natchnienia
W swojej młodości za pięknem pogoni,
W jeden rytm wiecznej rozkoszy pragnienia,
Co ciała w jasne posągi zamienia.

I trzeba było uroczych obnażeń,
Dziewiczym wstydem wdzięcznych przy nagości,
Zmysłowej formy natchnionych wyrażeń,
Gdzie życie zlało w poematu całość:
Szlachetny kontur z ciepłem namiętności,
A siła miękka podnosząc omdłałość,
Rozkosznych wygięć uwieczniła trwałość.

Za każdym nowym kwiatem, co się wcielił,
Miłosnych legend powiewały wonie,
I krzyk wesela w niebiosą wystrzelił,

Gdy między mirty i rododendrony,
Nad tajnych źródeł przeźrocyste tonie,
Biegły zbląkane żądzą Akteony
Boską Dianę ujrzyć bez zasłony.

W tym ubóstwieniu cielesnych rozkwitów
Ubiegła rącho porankowa chwila,
A ciała nie dość sączyły zachwytów;
Więc zapomniana w błękitnym eterze
Dusza na skrzydłach zstępuje motyla
I na wygasłych pożądań kraterze,
Stępieniem zmysłom rzuca blaski świeże.

Psyche! tyś przyszła kończyć dzień stworzenia.
Jak akord jednym wiążący łańcuchem
Ciemnych zagadek bieg i przeznaczenia;
Dziejowych zjawisk bezładne wyskoki,
Co się być zdają męką i rozruchem,
Zszeregowalaś w jeden nurt głęboki,
Chwiejne narodów podpierając kroki.

Dobrze ci było pośród tego ludu
Wypełnić żywych widzeń krajobrazy!
I poplątane arabeski cudu
Ująć w myślący porządek Ethosu,
I spocząć w głębi zielonej oazy,
W pół przesłoniętej cieniami chaosu,
W pół słuchającej własnych brzmień rozgłosu.

I nie dziw! wszystkie powtarzają struny
Pieśń, co związała ludzkość jednym prawem:
Platońskich marzeń lecą już zwiastuny,

Błyszczące ogniem przecutych zapalów,
I w przyszłość okiem wglądają ciekawym:
Kiedy się złoży z rozbitych kawałów
Spójnia walczących dotąd ideałów?

Ty słuchasz jeszcze, a tam śpiewne głosy,
Brzmiące miłością promiennej Hellady,
Leją się hymnem nad płonące stosy
Ległych obrońców, których liść laurowy
Przystraja w ogniach złocistej kaskady;
A te w bieliźnie leżą amiantowej,
Niby pomniki chwały narodowej.

Chwała i wolność; te dwa dźwięki złote,
Jako anioły w niebiosach się ważą,
I mlekiem karmią wielkich mężów cnotę,
Która zarówno z trybun, jak z oręża,
Do przyszłych wieków obraca się twarzą,
I wzrokiem smutne ciemności zwycięża,
W których zabraknie i cnoty i męża.

Wszędzie harmonia myśli, która władnie,
I bryły w jasny porządek układa.
Lud tajemniczą piękność tę odgadnie,
Co formy lepi dla życia narodów,
Tyle z jej łona blasków powykrada,
Ze przez daleki szereg epizodów
W przyszłość je rzuci aż do antypodów.

Niech nad tą świtów słonecznych świątynią,
Oko twe dłużej z miłością odpocznie,
Kapłani twoi ślub odrodzeń czynią,

Nieskończoności żądzę i przeczucie
W wszechwładną bytu zmieniając wyrocznie:
Sokrates bogi postawił w zarzucie...
I nieśmiertelność wypija w cykucie.

Tęskniąc za słońcem, które zwolna wstaje
Ponad krwi ludzkiej morzem purpurowym,
Zwróceniu wzrokiem w odgadnięte raje,
Gdzie wstępu bronią ciemności anioły,
Idą pokrzepiać życiodawczym słowem
Łaknące pociech zgraje — apostoły,
I dzień, co przyjdzie, zwiastują wesoly.

Ale nie radszedł: i królestwo ducha,
Choć objawione cichym i prostaczkom,
Z Golgoty boskim płomieniem wybucha,
Przecież w dalekich zawisło niebiosach;
I tylko ziemskim pozostało płaczkom
Na wieków marnie uwiedłych pokosach
W całopalenia odradzać się stosach.

Tęcze pogasły w dzikich zawieruchach,
Harmonię stłumił tętent barbarzyńców,
I myśl stanęła pod pręgierz w łańcuchach;
Na mętnej fali wichrem gnane hordy
Spłynęły burzą wśród ziemskich gościńców,
Wstrząsając grzmiące przewrotów akordy
I niosąc trwogę na zasiew i mordy.

Na gruzach nowe życie się zieleni,
I świeże kwiaty kwitną na cmentarzach,
Biorąc swe barwy z pod ruin kamieni;

Skrzydlate widma z czarnych wstają lochów,
A zakochane w namiętnych grabarzach,
Uczą ich stąpać wśród dziejowych prochów
Bez próżnych złudzeń, lecz i bez popłochów.

Tyle lat zbiegło i Furyńskie wrzosa
Miały czas wyschnąć pod niebem południa,
A ludzkość kroczy wciąż przez krwawe rosy,
I wciąż od celu swojego daleka;
Przeszłość się duchy smutnymi zaludnia,
Których żałobny hufiec tęsknie czeka,
Kiedy się znowu wcieli Bóg w człowieka.

Do wspólnej dobra ludzkiego skarbnicy
Tyle przybyło zasług i ofiary:
Długo z bezbronną bronią przodownicy
Szli na śmierć pewną, nie wiedząc przy zgonie,
Czy prawda, której zatknęli sztandary,
Z nimi w niepamięć wieczną nie zatonie,
Próżną męczeństwa palmą zdobiąc skronie.

A pod tą wrzawą namiętną skarg smutnych,
Wciąż się dopełnia niecny targ Judasza,
I nic nie przerwie pasma dni pokutnych;
Ludy wołają: „Szczęścia! ach, gdzie droga?...“
I chociaż biegną krzycząc: „Przyszłość nasza!“
Przecież na wszystkich wielka padła trwoga,
I nic nie mogą znaleźć, nawet Boga!...

Wschodzące mary ledwie zejda, zbledną,
Nigdy się w ciała oblec nie są zdolne;
Lecz choć szeregi przedświtowców rzedną,

Chociaż się kruszy ułomne narzędzie,
Jednak natchnienia nie zmniejszą wolne,
I pójdą dalej w niewstrzymanym pędzie,
Aż prawda ziemskie królestwo posiędzie.

Psyche tej ziemi, co dziś tak milcząca,
W zwojach ciemności marząc o kochanku,
Skrzydłami krwawe kałuże potrąca
I myśli senna, że to laur i różę,
Zbudzi się wreszcie w gwiazd niebieskich wian-
I jak te lilie, śpiące w wód lazurze, [ku,
Wypłynie wichry uciszyć i burze.

Kamienna siostró! czekaj wieków chwilę,
I świeć nadziejskiej pogody odbiciem:
Mirty zakwitną, powrócą motyle,
Miłość ci przyjdzie zwiastować o wiosnie;
Tymczasem stój tu nad grobowców gniciem,
I spojrzysz także, z wysoka, litośnie,
Gdy trawa nasze mogiły porośnie!

JULIAN APOSTATA

Na czele bitnych rzymskich legionów
Spaliwszy na Tygrze floty,
Gdzie przed wiekami wódz Macedonów
Rozbijał swoje namioty,

Stanął zazdrosny jego podboju,
Świeżą okryty purpurą
Cezar, co wedle sługi pokoju,
Na słońcu prawdy był chmurą

Pieszcząc w swym sercu przeszłości marę,
Chrystusa sieciom niechętny,
Zamierza wskrzesić imperium stare
I Olimp bogów ponętny.

Jedzie i marzy o swoim wrogu,
Co berło świata wydiera,
O tym nieznanym i cichym Bogu,
Co gdzieś na krzyżu umiera.

„Duszę mam“, mówi, „blasków słonecznych
„Pełną i nimi obrzucę
„Ludzkosć spragnioną jutrzeńek mlecznych,
„I dawną pogodę wrócę.

„Przeze mnie błysnie dawna potęga
„Obrządku, co światem władnie,
„A nowa wiara, co Rzym rozprzega,
„Pod stopą moją upadnie.

„Nie w ciemnym, nawpół dzikim marzeniu
„Leży zbawienie dla świata,
„Lecz w tym Heliosa jasnym promieniu
„Dojrzewa przyszłość bogata.

„Mądrość, na którą wieki się całe
„Składały w ciężkiej kolei,
„Mamyż wymienić za to niestałe
„Zaziemskich widmo nadziei?

„I barbarzyńską targnąć się ręką
„Na święte przodków spuścizny?
„Za galilejską biegnąc jutrzeńką
„Odstąpić wrogom ojczyzny?

„O nie! mój mistrzu, co wzrok odrywasz
„Od ziemi, gdzie życia cele,
„I myślą w sennym niebie spoczywasz,
„Ziemią się z tobą nie dzielę;
„Lecz ją sam ujmę w żelazne dłonie,
„Promienną przeszłość odtworzę,

„A na zwycięskim wejdzie zagonie
„Słońce, co zgasnąć nie może“.

Tak dumał Julian, patrząc się w gwiazdy,
I szukał swojej w niebiosach,
Aż wtem z pod ziemi perskie podjazdy
Przyszły rostrzygać o losach.

Wzięły zwycięstwo bitne legiony,
Pierzchają hordy przed nimi,
Ale wódz strzałą perską raniony
Chyli się z konia ku ziemi.

I laur ostatni rwąc na tej niwie,
Obficie krwią swą go zmywa,
Spojrzał się w górę dumnie, wzgardliwie,
I sny stracone przyzywa.

Potem zgarniając w dłonie już drżące
Strumień krwawego koralu,
Cisnął nim w niebo jasne, milczące,
Z wymówką skargi i żalu.

I zionąc duszę w namiętym krzyku,
Słabnący rzekł Apostata:
„Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku!
„Lecz jutro!... gdzie jutro świata?

„Cóż? że my padniemy przy tych bożyszczach,
„Tchnących wdziękami młodości,
„Cóż? że na naszej potęgi zgłiszczach
„Ponury krzyż się rozgości;

„Ze ten świat grecki w mgły się rozwieje
„Z harmonią tęczowych mytów,
„Ze w miejsce niego niebo zadnieje
„Męczeńskich pełne zachwyków.

„Czy krzyż otworzy swoje ramiona
„Tulaczej narodów rzeszy?
„Czy w cieniu jego spocznie strudzona
„Ludzkość, co nie wie, gdzie spieszy?

„Czy tak, jak teraz kona świat stary
„Pod znakiem boskiego zbawcy,
„Nie będą padać ludów ofiary,
„Wleczone pod miecz oprawcy?

„Czy w imię tego czarnego krzyża
„Świat się nie splawi krwi strugą,
„I wiara, co dziś niebo przybliża,
„Ciemności nie będzie sługą?

„O! przyjdzie chwila, w której o Tobie
„Gromady zwątpią cierpiące,
„Gdy ujrzą na swych nadziei grobie
„Jak ja dziś, niebo milczące,

„I wołać będą w dzikim okrzyku,
„Padając pod topór kata:
„Dziś zwyciężyłeś Galilejczyku!
„Lecz jutro! gdzie jutro świata?”

A S Z E R A

Po nad ziemskim lecąc globem
W brylantowych skrzę się rosach,
Wonne róże na mych włosach,
Z moich ramion spływa bluszcz;
Nad otwartym stanę grobem,
Pocałunki śląc namiętne,
I uwiodę cienie smętne
W lazurowych kraje puszczy.

Niegdyś, dawniej, świat młodzieńczy
Rozmarzyłam w sen lubieżny,
Do mej piersi tuląc śnieżnej,
W namiętności strojąc kwiat;
Dziś mię próżno róża wieńczy,
Zapoznane bóstwo błędne
Bez uścisków schnę i więdnę,
Opłakując dawny świat.

I choć tyle ognia w łonie,
W ustach pragnień niosę tyle,
Nie zlatują się motyle,
Aby wieczną rozkosz pić,

I kochanków próżno gonie,
Pałac lilie swym oddechem;
Nad przeszłości dźwięcznym echem
Zadumana muszę śnić.

Kwiaty wędna, blaski gasną,
Porankowych braknie rojeń,
I miłosnych już upojeń,
Nie pożąda zimny tłum,
I zmysłową żądzę jasną,
Zapaloną w ust purpurze,
W melancholii topi chmurze,
Lub przelewa w westchnień szum.

A za łzawą biegnąc perłą,
Ogniem życia już nie tryska,
Smutnie dymią ciał ogniska,
A nie dają ciepła już.
Brylantowe złożę berło,
Lub na gwiazdy pójdę inne,
Bo tu lilie wód niewinne,
Natrzęsają się z mych róż.

Albo rzucę wzrok błyszczący
Między ciche zmarłych cienie,
Rozbujanej piersi drzenie
Może ruszy śpiący proch:
Może oddech mój gorący
Kości stopi i skryształy,
Z zapomnienia wyjdą fali
I kochanków odda loch.

Do mnie, do innie, tu do łona,
Znów zakwitać, znówu płonąć
I w uściskach ciągłych tonąć,
Spłynąć roje bladych mar;
Ja otwieram swe ramiona,
Pocałunkiem zmyję pleśnie,
Tam sen w grobie, tu raj we śnie,
I miłości wieczny czar.

Czyż mam próżno sypać skarby
Gwiazd, koralu, pereł, wieńców,
Rzęs jedwabnych i rumieńców,
Alabastrów miękkich ciał,
I w uroczu przybrać farby
Pożądania rajske drzewo,
By spłynęło łez ulewą,
A owoce wichur zwiła.

Młodość, piękność, wdzięk i siłę,
Skwarem nieba, tchnieniem wiosny,
Skojarzoną w splot miłosny,
Nieprzebyty okrył cień;
Adonisa dziś mogiłę
Wśród Byblosu wonnych zwałisk,
Nie otacza rój odalisk
Gorączkowych pełny drzeń.

Cześć rozkoszy bez uniesień
Serc nie pali i nie wskrzesza,
Słońce na chmurach nie zawiesza,
Nie przymnaża twórczych sił;

Namiętności smutna jesień
Zyciodajne traci ognie,
Do harmonii ciał nie dognie
Obumarłych typy brył.

W opóźnionych pulsach świata,
Erotyczna boska władza
Skrzepłych istnień nie odmładza,
Ledwie ciągnie dalszy byt.
Mych gołąbków tęcz skrzydlata
Zawieszona u podwiązki,
Bez mirtowej wróżb gałązki,
Na jaśniejszy czeka świt.

Muszę rzucić błysk zmysłowy,
I dzisiejszą łez opilość
W wulkaniczną zmienić miłość,
Co poruszy nowy prąd;
Gdy rycerski proch grobowy
Mym uściskiem rozplomienie,
Wyjdzie silne pokolenie
Chananejski zyskać ład!

RODZINNEMU MIASTU

Jest jedno piękne ludowe podanie,
Co treścią swoją do łez mnie porusza:
Lud prosty mniema, że gdy czas nastanie,
W którym już ciało ma opuścić dusza,
Zanim w nadziemskim utonie błękitcie,
Powraca jeszcze wstecz przez swoje życie...

I zwolna idzie przebytym już śladem
Zegnać to wszystko, co jej drogim było,
Raz jeszcze ujrzeć w świetle grobu bladym
Miejsca, gdzie niegdyś żywiej serce biło!
I tak dochodzi aż w dziecinne lata,
I nad kolebką staje znów skrzydlata.

Jako wędrowiec smutny i zmęczony
Kapie się znowu w jasnych wspomnień zdroju
I błogosławi swe rodzinne strony,
I wtedy z ziemi odchodzi w pokój,
Niosąc na skrzydłach w krainę wieczności
Najszlachetniejsze marzenia młodości.

To wszystko prawdą mnie się dziś wydaje,
Bo choć sam jeszcze do żywych się liczę,
Za każdym krokiem, co mi pozostaje,
W tył poza siebie odwracam oblicze
I moja dusza wyrywa się smutna
Tam, gdzie młodością była tak rozrzutna.

I często cichym, gwiaździstym wieczorem,
Gdy swoim blaskiem księżyc do mnie wchodzi,
Gdy anioł ciszy na mym sercu chorym
Kładzie swe dłonie i boleść łagodzi,
Czuję, jakobym był już tylko cieniem,
Ulatującym z księżycą promieniem.

Wtedy, ach, idę po srebrzystej fali
I całą drogę minioną odnawiam,
Pozdrawiam ludzi, co mnie dzieckiem znali,
Gaje i łąki i pola pozdrawiam,
I zatrzymuję się nad każdą miedzą,
Gdzie złote mary lat dziecinnych siedzą.

Droga mnie wiedzie do starego grodu,
Otoczonego ramionami Prosny:
Tam, wśród alei kasztanowych chłodu,
Czerpałem tchnienie pierwszej zycia wiosny,
Co w cudowności szatę się obleka,
Jak sen zstępuje i jak sen ucieka.

Dziś wywołane pamięcią promienie
Złocą mi pasma zielonych wybrzeży,
I znów anielskie śle mi pozdrowienie,

Jak niegdyś rankiem, dzwonek farnej wieży,
I całe miasto w oczach się powiększa
Przez mgłę tęsknoty, co wszystko upiększa.

Jak tam spokojnie płynie ludzkie życie,
Mierzone dźwiękiem słodko brzmiących godzin!
Jak wody w Prosny łagodnym korycie,
Dnie upływają w kółku cichych rodzin,
I z domowego ogniska blask strzela,
Który przechodnia oczy rozwesela.

Ach! z tym ogniskiem dusza moja zrosła
I brała z niego macierzyńskie ciepło,
Zanim daleko fala mnie uniosła
Na brzeg, co dłonią pochwyciłem skrzepłą.
Więc gdy te domy i serca obaczę —
Jak dziecko ręce wyciągam i płaczę.

Bo cóż słodsze nad rodzinny związek,
Co wielkim drzewem jedności wyrasta,
I pełen wiecznie zielonych gałązek
Ocienia sobą cały obręb miasta,
I nad tę wiarę, która wszystko zbliża
W nawie kościelnej u jednego krzyża?

I cóż świętszego nad domowe cnoty,
Nad tę tradycję żywą, starożytną?...
Cóż jaśniejszego nad ów szczeroloty,
Wesoły uśmiech, którym twarze kwitną,
I nad tę cichą, zącną serc zażyłość,
Co niesie szczęście, niosąc z sobą miłość?

Tak mi to wszystko cudnie się uśmiecha,
Tak mnie ta przeszłość pociąga znikniona,
Ze szukam wzrokiem, gdzie jest owa strzecha,
Pod którą spoczną wśród przyjaciół grona?
Ale napróżno... bo w mej idealnej
Podróży błędę, jak cień — niewidzialny.

Zresztą już moi przyjaciele starzy
Po większej części poszli na spoczynek,
Rodzinna ziemia lekkim snem ich darzy,
Więc im dać muszę łzę na upominek!
A z tych, co żyją, mało kto mnie wspomni:
W pamięci ludzkiej nikną nieprzytomni.

Z czasem powoli wszystko się zaciera,
A więc i moje zatarły się ślady:
Stary park na mnie z zdziwieniem spoziera,
Pytając: „Co to za przychodzień błady?”
I nawet mury wahają się szkolne
Rozpoznać we mnie swe dziecko swawolne!

Chociaż przechodzę około okienka,
Pod które dawniej zbliżałem się z drzeniem,
Już w nim nie siedzi figlarna panienka,
Co była pierwszej miłości marzeniem,
I tylko gzymsy opuszczone sterczą
I patrzą na mnie dziwnie i szyderczo.

Tylko sny dawne zlatują się do mnie,
Spływając łukiem różnobarwnej tęczy...
I widzę wszystko, com śnił nieprzytomnie

Nad nurtem rzeki wsparty na poręczy...
Lecz te marzenia nie wydały plonu:
I jestem smutny, smutny aż do zgonu!

Jednak nie chciałbym teraz mej żałoby
Zawiesić chmurą nad pocziwym grodem;
Chciałbym na boku pozostawić groby,
A zejść się z życiem szlachetnym i młodym,
Co jak bluszcz swoją latorośl przeciska
Do słonecznego światła przez zwałiska.

Chciałbym z młodzieżą w kielichy uderzyć
I ze starymi pogwarzyć przy winie;
W młodość, wskrzeszoną węgrynem, uwierzyć.
I nucić piosnkę o psotnej dziewczynie,
A skończyć głośnym, wesołym toastem,
Na powitanie z ukochanym miastem.

I chciałbym objąć w uścisku serdecznym
Ziemie i mury, i wody, i ludzi...
Ale czas wracać szlakiem nadpowietrznym,
Bo już jutrzienka słońce ze snu budzi
I księżycowe gasnące promienie
Już mnie wzywają w błękitne przestrzenie.

Tak więc znikając w jasności porannej,
Dobrych aniołów polecam was pieczy,
Niech promień łaski nieba nieustannej
Pocziwe serca przed złem ubezpieczy
I Ten, co wszystkich w przyszłość nas posuwa,
Nad starym grodem niech Bóg zawsze czuwa!

POZEGNALNE SŁOWO

O drogę moją pytasz się i zżymasz,
Ze ta wykracza poza słońc twych sfery ...
Nie chcę cię łudzić, widzisz, jestem szczery:
Nie pójdziesz za mną, lecz mnie nie powstrzy-
[masz.

Gdzie świat mój? słońce? gdzie jest moja meta?
Może meteor błędny, nie kometa,
Chwilę nadziejskie olśniwszy etery,
Zgasnę w ciemnościach, więc imię me wymaż
Z listy twych bratnich planet, co bez końca
Kręcić się będą koło swego słońca.
Może kataklizm straszny mnie tam wiąże
Z nieznanego biegunami świata,
Może fatalizm pcha mnie, a zatrata
Jedynym kresem, do którego dążę:
Na cóż mi wiedzieć, gdy wytknięta droga
A resztę zdałem na los, czy na Boga.

Jam już zmęczony tą ciągłą gonitwą,
W której co chwila duch mój łamał skrzydła;
Nie mogłem niebios przejednać modlitwą,
A Syzyfowa praca mi obrzydła.

Nie chcę już ducha okiełznać w wędzidła
Jak niesfornego rumaka przed bitwą,
By zwyciężonym powrócić z wyłomu,
Unosząc hańbę do pustego domu.

Ach! w tej bezbrzeżnej pustyni dla ducha
Nie ma gdzie widzeń swoich ucieleśnić!
Więc chociaż serce jak wulkan wybucha,
Samotne musi wieczność gniewu prześnić
I do grobowców przywyknąć milczenia,
Nim znajdzie w prochach ciszę zakończenia.

Wolę więc pełen pogardy i wstrętu
Odwrócić moje obłąkane oczy
Od tego ładu próżnego lamentu,
Od tej przyszłości, którą robak toczy,
I zapatrzony w mój ideał biały,
Stać jako posąg na ból skamieniały.

A kiedy słońce gasnące oświeci
Ostatni dzień mych marzeń i upadek:
Sam swojej hańby i rozpaczny świadek,
W milczącą przepaść duch się mój rozleci,
I nie zostawi dla was nic po sobie,
Cobyście mogli lżyć litością w grobie.

ECHO KOŁYSKI

Gdym jeszcze dzieckiem był
Budzącym się na świat,
Gdy wątły życia kwiat
Jeszcze się w pączku krył,
Na łono matka mnie brała,
Pieściła i całowała,
Gdym jeszcze dzieckiem był.

Pamiętam po dziś dzień,
Jak kojąc płacz lub gniew,
Nuciła tęskny śpiew,
Co falą słodkich brzmień
Dobywał uśmiech na nowo,
I każde piosenki słowo
Pamiętam po dziś dzień.

„Dziecino nie płacz! nie!
Rozjaśnij swoją twarz,
Dopóki matkę masz,
Nie może ci być źle;
Na moim oprzyj się łonie,

Ja cię przed bólem zasłonię.
Dziecino nie płacz, nie!

„Chowaj na później łzy!
Dziś jeszcze anioł-stróż
Girlandą białych róż
Okala twoje sny,
Na tkance marzeń pajęczej
Maluje kolory tęczy:
Chowaj na później łzy!

„Rozkoszą wszystko tchnie,
Spiewa ci ptaków chór,
W twym niebie nie ma chmur,
Ani goryczy w łzie;
Życie uśmiechem cię wita
I każdy kwiat ci rozkwita,
Rozkoszą wszystko tchnie!

„Więc duszę swoją pieść
Jutrzenką rajskich farb,
I czystych uczuć skarb
W niewinnej piersi mieść!
Byś mógł zaczerpnąć w tym zdroju,
Gdy ci przybraknie spokoju:
Więc duszę swoją pieść!“

DO ...

Przekleństwa synu, co Kaina piętnem
Straszysz w dzień biały Chrystusową trzodę,
Przybywaj do mnie! w uciśnieniu smętnym
Znajdziesz dla siebie gorycz i ochłodę.
Znanyś mi z dawna, gdy życiem namiętnym
Przyniosłeś duszy swojej wieczną szkodę,
Rzuciwszy cnoty gościniec utarty
I do bram niebios biegnąc i odparty.

Lepiej ci było wraz z bracią Ablową
Przeżuwać życie na pokory zębem,
Kochać na rozkaz i wierzyć na słowo,
Pałac na stosie ofiarnym gołębie;
Niżli do boju stanąwszy z Jehową,
Przeglądać bytu i nicestwa głębie,
Nie byłbyś nosił fatalnej pieczęci,
Na którą z wstrętem patrzą wniebowzięci!

Lecz tym, czym jesteś skazany na piekło,
Tym cię mieć pragnę, gościu mój posepny!
Bo jakieś echo podziemne mi rzekło:
Ze los nasz jeden, że i ja występny;

Czemu tym bardziej wierzyć teraz muszę,
Gdy jasne niebo z piersi mej uciekło,
I sam zostałem nieprzystępny, skrusze,
A tylko jednej rozpaczy przystępny.

Razem więc z tobą, synu potępienia,
Nad Babilonu wodami usiedziem,
A nieśmiertelni wielkością zwątpienia,
Z swej piersi głosu strasznego dobędziem;
Z Prometeuszów wiecznością cierpienia,
I z sępem żądz, męczarni narzędziem,
W własnej niemocy skowani łańcuchy,
Zostaniem bratnie dwa stracone duchy!

Lecz nim utoniem w niepamięci fali
Przed okiem ludzi skryci w obłók czarny,
Niech ich pieśń nasza gromem wstydu spali;
Ze w nikczemności pędząc żywot marny,
Plazowe szczęście nie wielkość obrali;
Niech ich ród szczęsny, cierpliwy i karny,
Z pokorą znosi losów wyrok twardy:
My ich zapłaćmy jałmużną pogardy ...

NAGROBEK

Chwilę nad krwawym zbłąkany zagonem,
Wracam z pola znużony drogą nadpowietrzną
Z próżnymi dłońmi, z sercem rozżalonym,
Kończąc wędrówkę marną choć konieczną,
I w tył się zimną twarzą nie odwrócę,
Bo obojętnym jest mi to, co rzućę.

Nigdy się z ciemnych krain nie wychylił,
Ani rzeczywistości nie dotknąłem ręką;
Próżnom się stworzyć sferę życia silił,
Sen mi był życiem, przebudzenie męką;
I z za obłoków chyląc się niechętnie
Patrzałem na świat łzawo, choć namiętnie.

I nigdy w nikim nie znalazł oparcia,
Coby podzielił ze mną gorycz próżnych chęci,
Więc sam zostałem zawsze podczas starcia,
Bezsilność nosząc w cielesnej pieczęci,
I choć bojowych uniknąłem skażeń,
Zostałem za to bez plonu i wrażeń.

I nigdy usty nie dotknął drżącymi
Ust drugich, coby w serce miłość ziemską lały:
Senne mnie tylko widma kołysały,
I dziś me serce złożą do podziemi,
Gdzie rozsypane w proch śnić jeszcze będzie:
Ze nad nim płaczą dziewicze łabędzie.

Ta czystość, grobu nimfom poślubiona,
Dała mej mglistej duszy świąteczną pogodę,
I melancholii łagodnej zasłona
Spadła na dziwną narcyzów urodę,
Co nie znalazłszy nic dla siebie w życiu,
We własnym musi utonąć odbiciu.

W wiązance wspomnień, zbieranych starannie,
Nic nie przeżyje chwilą jutra mej mogiły;
Błyszczałem rosą uczuć nieustannie,
Lecz i tę ptaki niebieskie wypily,
I tyle tylko pozostanie śladu,
Co po tych perłach, startych piersią gadu.

Ani opróżnię miejsca wśród gromady,
Choć zniknie cienia mego przezroczysta białość;
Nie pójde błędzić po księżycu blady,
I od zbudzenia zbawi mnie ospałość,
I głuche nawet echa nie powtórzą,
Zem się już ukrył przed boleści burzą.

ZMARŁEJ DZIEWICY

Zasnęła cicho i nic jej nie zbudzi,
Ani płacz siostry, ani matki łkanie,
Ani gwar obcych a ciekawych ludzi,
Co otoczyli śmiertelne posłanie:
Już jej dosięgnąć boleść nie jest w stanie —
Zasnęła cicho i nic jej nie zbudzi.

Na zawsze swoje zamknęła powieki,
Spokojna, blada, smutna narzeczona
Anioła, co ją poślubił na wieki;
Jakoby w jasny posąg zamieniona,
Zaziemskich widzeń jasnością olśniona
Na zawsze swoje zamknęła powieki.

Ostatni uśmiech wykwił na jej twarzy,
A obok niego dziwne zamyślenie;
Jeszcze się może nad jej kształtem waży
Zbiegłego życia rozwiane marzenie;
Więc choć ją wieczność ubrała w milczenie
Ostatni uśmiech wykwił na jej twarzy.

Z rozbitej czary idealnych marzeń
Piła zaledwie woń kwiatów wiosenną;
Od rozczarowań wolna i od skażeń
Rzuciła czarę pod urnę kamienną,
I w sferę duchów wzlatuje promienną
Z rozbitej czary idealnych marzeń.

Rozmówiona w nieśmiertelnym pięknie,
Ukołysana pieśnią tajemniczą,
Ani się grobu ciemności ulęknie,
Ani zatęskni za życia goryczą,
Ale uwieczni swą piękność dziewiczą,
Rozmówiona w nieśmiertelnym pięknie.

Mistrzostwo śmierci i śmierci potęga
Białego kwiatu utrwaliły białość.
Co życie w biegu niszczy i rozprzęga —
To śmierć obleka w harmonijną całość,
I nieskalaną daje doskonałość
Mistrzostwo śmierci i śmierci potęga!

W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju
Zakwita róża mistyczna zachwyty;
Znikome kształty padły w życia boju,
Lecz to, co boskie — na fali błękitu
Wraca panować nad zmiennością bytu
W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju.

NA PAMIĄTKĘ

Na pamiątkę, żem chwil kilka
Zył w czarownych marzeń kole,
Ze z nich jedna, jedna chwilka
Zostawiła wspomnień pole —
Na pamiątkę cóż zostanie?

Na pamiątkę, żem przez ciernie
Drogi życia przeszedł wiernie
I bez skargi, jak przez róże,
Ze nie zgięły mego czoła
Zadne wichry, żadne burze —
Na pamiątkę cóż zostanie?

Na pamiątkę natchnieć rzewnych,
Com piastował w swojej duszy,
I tych kilku dźwięków śpiewnych,
Co wiatr uniósł i przygłuszy,
Na pamiątkę łez ukrytych,
Ideałów niezdobytych —
Na pamiątkę cóż zostanie?

NOKTURNO

Na dworze wicher i śłota,
Tak smutno, mroczna i chmurno,
Po szybach deszczyk przygrywa,
A wicher śpiewa nokturno.

Tańczą po żółkle liście,
Tańczą para za parą,
Ja siedzę smutny w kątku
I w przestrzeń spoglądam szarą.

Czegoś mi tęskno i straszno,
Patrzę bezmyślnie przed siebie,
A coraz ciemniej mi w duszy,
I coraz ciemniej na niebie.

Czy tylko wicher tak jęczy,
Kręcąc się z deszczem dokoła?
Czy tam nikt więcej nie płacze?
Nikt więcej na mnie nie woła?

Bo słyszę jakieś wzdychania,
I jakieś głosy mi znane,
Które brzmią strasznie, ponuro,
Wstępując w serce stroskane.

I jakieś blade postacie,
Do moich okien się tłoczą:
Patrzą się na mnie szyderczo
Śmieją się ze mnie i drocą...

I nie pytając: czy wolno?
Wchodzą do mego mieszkania,
A każda z drwiącym uśmiechem
Przedemną nisko się kłania.

I ciągną w długim szeregu,
Szeleszcząc, jak suche liście,
I tańczą para za parą
Przy dzikim wichru poświście.

„Chodź z nami!” — wołają na mnie,
„Wszakżeż ty do nas należysz?
„Minioną przeszłością żyjesz,
„I jeszcze kochasz i wierzysz?

„Ty się nas przecież nie wyprzesz,
„Jak się ci wszyscy wyparli,
„Co myślą, że żyją jeszcze,
„Chodź dawno duchem pomarli.

„Chodź do nas! dalej do koła!
„Z nami zabawisz się pięknie,

„I będziesz tańczyć i śpiewać,
„Póki ci serce nie pęknie!

„Lepiej niech pęka odrazu,
„W krwawej przeszłości uściskul
„Niż ma zastygać powoli
„Na brudnym ludzi śmiecisku.

„Masz zostać przez nich zdeptanym,
„Lub stać się z nimi zaprzańcem,
„Wolisz pójść w ciemność za nami
„Bawić się śpiewem i tańcem!”

Tak mnie wołają i kuszą
Coraz to śmielej natrętniej,
I otaczają mnie kołem...
A w oczach coraz mi mętniej.

I czuję, że mnie unoszą;
Brzmi strasznie wichru muzyka,
Świat się pode mną zapada...
Wtem nagle wszystko mi znika.

I pusto w moim pokoju,
Na świecie mroczno i chmurno,
Po szybach deszczyk przygrywa
A wicher śpiewa nokturno.

JEDNI I DRUDZY

Są jedni, którzy wiecznie za czymś gonią,
Za jakąś marą szczęścia nadpowietrzną,
W próżnej gonitwie siły swoje trwonią,
Lecz żyją walką serdeczną.

I całą kolej złudzeń i zawodów
Przechodzą razem z rozkoszą i trwogą,
I wszystkie kwiaty zrywają z ogrodów,
I depcą pod swoją nogą.

Są inni, którzy płyną bez oporu
Na fali życia unoszeni w ciemność,
Niby spokojni i zimni z pozoru,
Bo widzą walki daremność.

Zrzekli się cierpień i szczęścia się zrzekli,
Zgadując zdradę w każdym losu darze,
Przed swoim sercem jednak nie uciekli,
I własne serce ich karze!

Gdy się spotkają gdzie w ostatniej chwili
Jedni i drudzy przy otwartym grobie,
Założą, czemu inaczej nie żyli,
Wzajemnie zazdroszczą sobie.

LUDZKOŚCI!

Ludzkości! ty Atreusza rodziel
Wśród ciągłych walk idziesz naprzód niespo-
[kojna,

I własną pierś ranisz w tym pochodzie,
Głucha na łzy, nienawiścią zbrojna.

Przebyty ból płacisz nową męką,
I chcąc się mścić, mścisz się wiecznie, lecz na
[sobie,

Bo każdy cios twą zadany ręką
Spycha cię w dół we krwi i żalobie.

Tyś sama jest katem i ofiarą
I padasz w proch, kiedy kroczyć chcesz zwy-
[ciężko,

I triumf twój jest dla ciebie karą,
I zwycięstw szal jest dla ciebie klęską!

Lecz mimo klątw, bólu i zwątpienia,
Przeczuwasz cel, ku któremu dążysz zwolna:
On czoło twe zawsze opromienia,
Choć ująć go jeszcze nie jest zdolna.

XIX-MU WIEKOWI

Wiek bez jutra, wieku bez przyszłości,
Co nad przepaścią stanąłeś ponury!
Nauczycielu zgrozy i nicości,
Coś wziął ludzkiego ducha na tortury!
Wiek zwątpienia, o wieku niewiary,
Jakże ty strasznym jesteś dla cierpiących!
Sfinksową twarzą patrzysz na ofiary,
Szyderstwem żegnasz w męczarniach ginących,
Śląc im do grobu te słowa najkrwawsze:
Wszystko skończone, giniecie na zawsze.

Na co się przyda, mistrzu, twa nauka,
Na co się przyda dla błędnej rzeszy?
Gdzie masz pociechę, której ona szuka?
Gdzie masz tę miłość, która ją rozgrzeszy?
Dalej jej ziemi obszary jałowe,
I dożywotnie dalej jej dziedzictwo,
Ale zabrałeś najlepszą połowę,
Idealnego świata uczestnictwo.

Choć jasne źródła stoją jej otworem,
Ona z nich przecież rozkoszy nie czerpie
I woła, sercem upadając chorym:
„Po co ja żyję, umieram i cierpię?”

NA POBOJOWISKU

Chłód go nocny powrócił do życia
I otworzył swe oczy powoli...
Wkoło ciemność: słycać jakieś wycia,
Jakieś jęki; coś go w piersiach boli...
Z bólem pamięć powraca leniwa,
Rozpoznaje z dreszczem niepokoju,
Ze na ziemi wilgotnej spoczywa,
Gdzie upadł w boju!

Rozpoznaje przez mgieł kłęby sine
Ciemne kształty rzucone w nieładzie,
Co zasłaly dokoła równinę,
Pojedynczo leżąc, lub w gromadzie;
Rozpoznaje stosy nieforemne,
Z których czasem straszny jęk wybucha;
I ze zgrozą patrzy w niebo ciemne,
Patrzy i słucha.

Coś się ruszy, coś tam zaszeleści;
To znów słycać rzenie, lub chrapanie,
Głosy dzikiej, niehumanicznej boleści;

Coś upadnie, coś ze ziemi wstanie,
A szmer każdy w nocnej ciszy rośnie,
Olbrzymieje trwoga, wstrętem, bólem,
I w powietrzu jęczy wciąż żałośnie
Nad krwawym polem.

Czasem ptaki załopoczą skrzydłem
I na ziemię w pobliżu przypadną,
Zerowaniem zajęte obrzydłym...
On się wstrząsa przed wizją szkaradną;
Choć odważny a przecież się lęka,
Ze niedługo, może już nie zdoła
Spędzić ptactwa — nieruchoma ręka
Z martwego czoła.

Mgła mu oczy powoli zasłania...
On sam nie wie: czy to rosa ścieka
Po źrenicach? czy też mrok konania
W noc go cichą na zawsze obleka?
Lecz że życie boleścią się mierzy,
A w swych piersiach czuje bólu żmije,
Mimo cieniu grobowego wierzy,
Ze jeszcze żyje!

Zal go dławi, pragnienie go piecze,
Dreszcz śmiertelny członki mu przejmuje;
Krew uchodzi: z nią życie uciecze...
Lecz on jeszcze słyszy, myśli, czuje...
Jeszcze wzrokiem powłóczy po ziemi,
Po postaciach, leżących w ciemności,
Jeszcze szemrze usta spieczonymi:
„Biedna ludzkości!”

Jeszcze myślą błądzi wśród ciał stosów,
Których losy niedługo podzieli,
I zagadka smutnych ludzkich losów
Tu, na krwawej trwoży go pościeli.
„Biedna ludzkość!” — powtarza i wzdycha —
„Co ją pędzi na straszne rozdroża?
„Co ją gwałtem z łąk kwiecistych spycha
„Pod ostrze noża?”

„Sława? ... miłość dla ziemi rodzinnej? ...
Parcie ducha, któremu za ciasno?
Czy przecucie jakiej lepszej, innej
Doli ludów, krwią kupionej własną?
Czy nienawiść, szal, lub przesąd lichy
Zaszczepiony starannie za młodu?
Czy pojęcie wielkości i pychy
Swego narodu?”

„Czy też zwykła bierność, brak oporu,
Ślepy nałóg, ślepe posłuszeństwo?
Jakieś widmo tęczowe honoru,
Co zasłania dzikie okrucieństwo?
Może wszystko, może wszystko razem
Pchało naprzód te zastępy zbrojne,
Co zmiecione ogniem i żelazem
Leżą spokojnie“.

„Biedna ludzkość! Wieluż z nich wiedziało,
Jaką przyszłość toruje i komu?
Czy śmierć będzie ich klątwą, czy chwałą?
Kto skorzysta z klęski lub pogromu?
Czy nad nocą ich własnej zagłady

Nowe ducha zabłyśnie świtanie?
Czy się raczej nie załęgną gady
W otwartej ranie?”

„Ten, kto może ginąć z pełną wiarą,
Że umiera za ludu swobody,
Ze krwi swojej serdecznej ofiarą
Zbawi w więzach jęczące narody,
Że ojczyźnie cierpiącej otworzy
Nowe drogi szczęścia i spokoju ...
Ten usypia, jako sługa boży,
Po krwawym znoju“.

„Lecz kto ginie, jak niewolnik marny,
Zawleczony za włosy przemocą,
I rzucony pod topór ofiarny,
Nic nie wiedząc, dlaczego i po co?
Kto upada bez pociechy czystej,
Ze szedł bronić tego, co mu drogim ...
Ten ze skargą na sąd wiekuisty
Stanie przed Bogiem“.

„I Najwyższy nie dozwoli Sędzia,
Aby odtąd już na ojców grobie
Nasze dzieci, jak ślepe narzędzia,
Uzbrajano na śmierć przeciw sobie:
Aby miały z myślą rozpaczliwą
Rzucać znowu życia blask różowy,
Ze zwiększając przyszłe nieszczęść żniwo
W proch kładąc głowy“.

Tak się żali swego serca raną
Przed tym niebem pochmurnym i głuchym,
I swą ziemię wspomina kochaną,
Gdzie nie wróci, chyba tylko duchem;
I wspomina matkę, co się dowie,
Ze nie ujrzy więcej syna swego ...
„Biedna matka! Święci Aniołowie
Niechaj ją strzegą!”

Dom rodzinny staje mu przed okiem:
Taki jasny, wdzięczny, uśmiechnięty,
I tak ludny złotych mar natłokiem,
I tak pełen najmiłszej ponęty.
Szczęście, miłość, żony postać słodka,
Przesłonięta smutkiem i tęsknotą,
I ta mała w kołysce szczebiotka,
Co już sierotą!

Znowu oczy zaszyły łzą, czy rosą;
Gdy wtem nagle zdala blask spostrzega,
Jacyś ludzie: w ręku światło niosą;
Pewnie pomoc dla rannych przybiega.
„To ratunek — szepcze — to ratunek!
„Może jeszcze będę ocalony,
„I po słodki wrócę pocałunek
Matki i żony!”

Z utęsknieniem wita światło owe
I chce wołać i wzywać pomocy,
Lecz dokoła słychać jęki nowe,
I głos jego ginie w ciemnej nocy.

Światło miga, tu owdzie wśród zielska,
A gdzie przejdzie, tam ucichną jęki ...
Pewnie ręka litości anielska
Łagodzi męki.

Aż przed sobą przy świetle latarni
Ujrzy twarze, widziadła gorączki ...
Niby ludzie, lecz nadto poczwarni,
Chcą mu z palców pościagać obrączki ...
Widzi obok, jak dłoń świętokradzka
Z ciał zabitych smutne łupy zrywa,
I jak rannych dobija z nienacka
Grabieży chciwa!

Ten ohydny widok śmierci dreszczem
Ścina piersi rannego żołnierza,
Wzrok martwieje przed widmem złowieszczym,
Głowa martwo o ziemię uderza.
Tylko ciało kurczowo się wzdryga
Na straszniejsze nad grób okropności ...
I westchnienie na ustach zastyga:
„Biedna ludzkości!”

POWRÓT DO DOMU

Wśród cichej nocy, do wioski, co w dole
Ponad srebrzystym rzucona strumieniem,
Zdązał podróżny i witał westchnieniem
Wysmukłe, zdala widzialne topole.
Chociaż zmęczony, przyśpieszał wciąż kroku,
Jakby przypuszczał, że mu sił nie stanie,
I całą duszę umieścił w swym wzroku
Na pierwsze, długie, łzawe powitanie.
Świadomy drogi przez lasek brzozowy
Zbiegł na dół ścieżką i zniknął w olszynie,
Aż stanął wkrótce na mostku przy młynie,
Słuchając jego z bocianem rozmowy.

Co mu powiedział bocian i młyn stary,
Swoim klekotem płynącym po rzeczce?
Jakie obudził wspomnienia i mary,
Ten głos dwóch starców w nieustannej
[sprzeczce?

Nie wiem. Lecz silniej pobladły mu lica,
W srebrzystym świetle bladego księżyca,

I boleść w niemej utopił zadumie,
Szukając wspomnień w śpiewnym rzeczki szu-
[mie...

Wiatr mu z bliskiego przynosił ogrodu
Znajomych kwiatów woń pamiętną, miłą.
I zaczął marzyć, jak niegdyś za młodu,
Jak gdyby w życiu nic się nie zmieniło;
I cała przeszłość stanęła tak żywa,
Skupiona w jednym, tęczowym obrazku,
I pierzchłe złotej młodości ogniwa
Nabrały teraz nieznanego blasku.
Cichego szczęścia najmniejsze wypadki,
Jasnym płomieniem świecące ognisko,
I te najśłodsze pocałunki matki,
I drugie również anielskie zjawisko.
Wszystko to widział w dziwnej mgłę niebieskiej,
Jak poplątane cudne arabeski.

Wydarł się wreszcie tej widzeń ponęcie,
Co pieszcząc serce, krwawi je zarazem;
Zwrócił się spiesznie na drogi zakręcie,
A twarz się znowu powlokła wyrazem
Owej spokojnej, bezbrzeżnej boleści,
Co się niczego już w świetle nie lęka
I żadnej w sobie nadziei nie mieści.

Dalej za młynem stała Boża Męka
Na skrzyżowaniu dróżyn pochylona,
I wyciągnęła czarne swe ramiona
Z błogosławieństwem ponad ciche pole,
Patrząc z miłością na ludzką niedolę.

Minął ją zwolna, pochyliwszy głowy,
I poszedł prosto na cmentarz wioskowy.

Topole, brzozy i wierzby płaczące
Wieńczyły miejsce spoczynku dokoła,
Schylając swoje zadumane czoła,
Jakby piastunki do snu śpiewające.
Tam pod ich strażą rozsiadły się wzgórza,
Gdzieniegdzie w czarne ubrane krzyżyki;
Ggdzieniegdzie polna wczółgała się róża,
Lub zielsko bujne, lub też krzaczek dziki.

W milczeniu stąpał wśród mogił podróżny,
Bojąc się przerwać uroczystej ciszy;
Nadstawiał ucha na każdy szmer próżny,
Jakby przypuszczał, że jeszcze usłyszy
Głos, co go wołać zacznie po mieniu.
Z bijącym sercem przed siebie spoglądał,
Jakby na jasnym księżycu promieniu
Jaki cień drogi jeszcze ujrzeć żądał.

Lecz nic nie było słyhać prócz tych szmerów,
Co się być zdają nadziemskich eterów
Falistym drżeniem i spływają w pieśni,
Gdy je noc ujmie w dźwięk i ucieleśni.
I nic nie widać prócz tej gry znikomej
Drżącego światła i przelotnych cieni,
Która na fali powietrza ruchomej
Niepewne kształty rysuje w przestrzeni,
I z krzyżów, krzewów i głazów cmentarza
Coraz to nowe widziadła wytwarza.

Lecz ujrzał za to w księżycowym blasku
Wśród innych mogił kamienny grobowiec:
Spojrzawszy, przykląkł na ziemię wędrowiec
I złożył głowę na wilgotnym piasku,
I przytulony do zimnego głazu,
Leżał bez ruchu, życia i wyrazu.

Lza mu z suchego nie pociekła oka,
Ani też jękiem nie drżała pierś pusta;
Modlitwy nawet nie szeptały usta,
Bo wszystko boleść stłumiła głęboka,
Rzucając sercu, co padło zranione,
Nieprzytomności i szalu zasłonę.

SAM NA SAM

Dzień był tak ciężki! Wieczór taki głuchy,
Wiejący grobów chłodem i żalobą.
Wszystkie życzliwe odbiegły mnie duchy,
Łzy i nadzieje unosząc ze sobą.
Więc przy ognisku wygasłym, zczerniałym,
Sam na sam tylko z nieszczęściem zostałem.

Gość to surowy: czuwa on przytomnie,
Bym chwilę w słodszy nie spoczął marzeniu,
By żaden uśmiech nie doleciał do mnie,
Na jakim słońca jaśniejszym promieniu,
I od wszelakiej pokusy mnie broni,
Zawsze w żelaznej przytrzymując dłoni.

Gość to surowy: serca nie rozpieści,
Ani mu nie da we łzy się rozplynać;
Lecz wszystkie naraz gromadząc boleści
Każę mu stwardnieć pod ciosem lub zginać.
I dalej w przyszłość prowadzi mnie ciemną,
Upominając, że wciąż będzie ze mną.

Ja mu zaś mówię: pozostań na straży
Mojego życia, jak wierny towarzysz,
Do twojej groźnej przywykłem już twarzy,
I do tych ciosów, którymi mnie darzysz,
I skorzystałem wiele z twojej wymowy,
Nauczycielu wielki, choć surowy!

Dość mi, że wobec ciebie nie złamany,
Na gruzach całej swej przeszłości stoję:
Na tych dni kilka nie pragnę odmiany,
Bo nie dbam więcej już o losy swoje,
Lecz gdy mnie własne cierpienia utrudzą,
Potrafię jeszcze żyć radością cudzą.

Niech więc twoja ręka wszystko we mnie kruszy,
Co z osobistym pragnieniem się wiąże:
Najlepszej części nie wydrzesz mi z duszy,
Ni twojej światłości, w której stronę dążę.
Depcz śmiało ziemską istotę ułomną,
O której duch mój i ludzie zapomną.

To, co dobrego w moich piersiach tkwiło,
Co się wiązało z wspólnym życiem świata,
To pozostanie pięknością lub siłą,
Chociaż znikoma już opadnie szata,
I w innych sercach żyć na nowo będzie,
Dotychczasowe rzuciwszy narzędzie.

Zresztą niech wszystko niepamięć pochłonie,
Co nosi doli osobistej piętna:
Niech się rozgrywa dalej w moim łonie
Ta walka z losem smutną i namiętną;
Bo oto w świetle grobu tajemniczym,
I ból i rozkosz zarówno są niczym!

TEATR W TUSCULUM

Na gór albańskich łagodnym zakręcie,
Na dwóch złączonych pagórków grzebieniu,
W draperii dębów włoskich jest wycięcie,
Gdzie gruzy drzemią w pustce i milczeniu:
Szeroko tutaj rozsiadły się kołem,
Pokryte wieków pleśnią i popiołem.

Jak tylko ścieżka z lasu się wynurza,
Rododendrony witają wędrowca
I sam laur biegnie prowadzić przez wzgórze
Do kamiennego przeszłości grobowca
I pokazuje ów laur wiecznie młody,
Gdzie cycerońskie kwitły wprzód ogrody.

Lecz nie dobiega do ruin, by szumem
Nie przerwać wielkiej ciszy i powagi
I pozostaje z innych krzewów tłumem,
A gruzy leżą na wyżynie nagiej
I patrzą w błękit; tylko wśród kamieni
Bluszcz się przeciska, jak wąż, i zieleni.

Dawnych pałaców olbrzymie szkielety
Wryły się w ziemię i zielskiem zarosły;
Gdzieniedzie sterczą poszarpane grzbiety,
Gdzieniedzie leży kolumny wyniosłej
Strzaskany odłam, a na wyższym piętrze
Widać odarte i posępne wnętrze.

Po nagich ścianach z różnobarwnej lawy
Sączy się wilgoć i kroplami ścieka,
A te łyzy żywią w szczelinach mech rdzawy,
Co jak krwi plamy wygląda z daleka;
Lecz nic dziwnego, że płacze ruina,
Jeśli swą dawną wielkość przypomina.

Białych okruchów marmurowych mnóstwo
Wala się wszędzie pod nogą przechodnia;
Może nie jeden cesarz albo bóstwo,
Nie jedna wielkość i nie jedna zbrodnia;
Ale czas zgładził całe pokolenia
Bogów i ludzi, z gliny, czy z kamienia.

Zdala od ruin natłoku, samotnie,
Tuż u podnóża skał wiszącej ściany,
Rzymski teatrzyk wdzieczy się zalotnie
W kotlinie liściem akantów ubranej:
Po stopniach spływa półkołem ku scenie,
Gdzie dwie kolumny zdobią podwyższenie.

Czas uszanował to klasyczne dzieło,
Tylko ciemniejsze narzucił mu tony;
W liniach się całe mistrzostwo zamknęło,

Co dało kształtom wdzięk niewysłowiony;
I jest podobnym ten teatrzyk szary,
Do białej w ziemię marmurowej czary.

Sklepieniem są mu niebieskie błękity,
Co ściany światła obmywają strugą;
I tak błękitną kopułą nakryty
Na widzów czeka: ci śpią nadto długo!
I próżno scena wdzięcznie się przymila,
Myśląc o jakiej tragedii Eschyla.

Wszystko gotowe! krajobraz gotowy!
Widać kolumny portyku; za nimi
Lasy i wzgórza, strumienie, parowy,
I wielki obszar cudnej, włoskiej ziemi:
Wszystko tak piękne i pełne kolorów,
Brak tylko dotąd widzów i aktorów.

Widzem ja byłem; zstąpiłem z pagórka,
Siadłem na stopniu i słucham, i patrzę:
Oprócz mnie jedna przybyła jaszczurka,
I drugie miejsce zajęła w teatrze;
I głucha cisza wypełniła mury
Oczekiwaniem na tragedii chóry.

Ale chór dawno nad ruiną przewiał
I w kraj przeszłości uleciał zamierzchły;
Ustały skargi, krwawy miecz zardzewiał,
Wyniosłe cienie bohaterów pierzchły,
I zeszły z sceny pokolenia całe,
Unosząc z sobą rozpacz, wstyd, lub chwałę.

Dziś nie już śpiącej fali nie poruszy,
I grobów ciszy nie przerwie pokutnej:
Scena już pusta — i tylko w mej duszy
Na nowo dramat rozgrywał się smutny,
Po stosach ofiar zdążając przez wieki
Ku jakiejś gwiazdzie jasnej i dalekiej.

DWA ANIOŁY

Dwa anioły spotkały się w locie,
Ponad ziemią, wśród błękitnych mórz;
Jeden płynął w purpurze i złocie,
Miał wejrzenie jakby rannych zórz.

Drugi w czarnych aksamitach tonął,
Lecz brylantem świecił jego wzrok;
A na głowie wieniec z gwiazd mu płonął
I rozjaśniał nieskończony mrok.

„Wracam z ziemi — rzekł pierwszy z aniołów —
Gdziem w ogrodzie życia kwiaty siał,
Rozdmuchiwał płomienie z popiołów
I przyspieszał nowy rozkwit ciał.

„Tam widziałem, w ciemnej nieszczęść nocy,
Dwóch serc czystych krwawy z losem bój:
Dwojga istot gorzki ból sierocy,
Ich samotny, ciężki życia znój.

„Więc zbliżyłem dwie niedole z sobą
I miłości owiałem je tchem;
A z dwóch smutków, nad dawną żalobą,
Szczęście rajskim wykwitnęło snem!“

„Ja — rzekł drugi w gwiazdzistej koronie —
Wracam także z owych ziemskich pól,
Gdzie na chorych sercach kładłem dłonie
I na zawsze koilem ich ból.

„Tam spotkałem, pomiędzy innymi,
Jedną duszę szlachetną, bez plam,
I kochałem tego syna ziemi,
Co pięknnością dorównywał nam.

„Lecz dojrzałem, że w żywota męce
Zaczął chwiać się: rdzy dostrzegłem ślad,
I strwożony wyciągnąłem ręce,
By, padając, nie poplamiał szat.

„I miłością prowadzony czystą,
Jak najciszej zbliżyłem się doń:
Zarzuciłem zasłonę gwiazdzistą
I na sercu położyłem dłoń.

„W mych objęciach on teraz bezpieczny,
Bo już władzy nie ma nad nim czas:
I zostanie w swej piękności wiecznej,
Niedotknięty żadną z ziemskich skaz“.

W CIEMNOŚCI GROBU

Ciebie już w ciemność spowitą i w ciszę
Sen nieprzespany łagodnie kołysze;
Na grozę śmierci oczy ci zasłania
Wiecznymi blaski rajskiego świtania
I żadnych w sobie udręczeń nie mieści,
I żadnej z życia minionych boleści.

Za to ta cała noc grobu straszliwa
Mnie bezsennego swym mrokiem pokrywa,
Przez nieomknięte wciskając się oczy,
Widomą grozą serce me otoczy.

Za to mnie śmierci milczenie powleka,
Jak zbudzonego w mogile człowieka,
Co z przerażeniem w tej podziemnej ciszy
Zamierający własny krzyk swój słyszy
I czuje rozpacz, co nim jeszcze miota
I całą gorycz zgonu i żywota.

USMIECH

Na wstępie życia, przez dobre anioły
Zesłany w darze niewinnemu sercu,
Na ustach uśmiech zjawia się wesoly,
Igra, jak motyl, na łąki kobiercu.

Tak łatwo leci, tak swobodnie wschodzi,
Nie potrzebując jeszcze nic dla siebie:
Sama go jasność chwil porannych rodzi,
I świeżość wiosny rozlana po niebie.

Później ten uśmiech głębsze bierze piętno,
Za marą szczęścia i piękności leci;
Melodią uczuć dźwięczy już namiętą,
Ogniem zachwyty i pożądań świeci.

Utracił spokój niewinności błogi
I falą wzruszeń gwałtownych wybucha
I na rozstajne wylatuje drogi
Wśród krwi podszeptów i porywów ducha.

A gdy się w ciemnych przepaściach zabłąka,
Przejdzie zawodów kolej i zwątpienia,

Wtedy, ach! dziwną goryczą przesiąka,
I na szyderczy uśmiech się zamienia.

I twarz złośliwym wykrzywia wyrazem,
Którym chce dusza urągać zatruta,
I brzmi boleśnie i złowrogo razem,
Jak rozstrojonej harfy dzika nuta.

Lecz i ten uśmiech, co swe rany smaga,
I świat wyszydza i światu się skarży,
Rozwieje życia surowa powaga,
Nie da mu powstać na szlachetnej twarzy.

Wtedy znów ponad smutkami wszystkimi
Litośny anioł, który nas osłania,
Przysyła uśmiech ostatni na ziemi,
Uśmiech dobroci, uśmiech pobłażania.

PRZY KOMINKU

Gdy się ogień na kominku pali,
Lubię grzać się przy jego płomieniu,
I w przekwitłej młodości wspomnieniu
Odgrzebywać te iskry błyszczące,
Co tryskają z płomienistej fali,
I znikają w ciemnościach gasnące.

Złote głoski w ognisku zawarte
W szereg natchnień minionych układam;
Złote mary wstające spowiadam,
O przeszłości mówiące tak wiele,
I na nowo odtwarzam tę kartę,
Co już dawno zastygła w popiele.

Przez girlandy tańczących płomyków
Wzrok mój leci i blaskiem się pieści:
Wszystkie życia prześnione powieści
Pogrzebane w sercu moim na dnie
Występują z zamglonych tajników
I przez chwilę znów błyszczą tak ładnie.

Na stos jeden ułożone drewna
Zdają mi się być stosem pogrzebu,
Skąd burzliwie uleci ku niebu
Ta pogańska wszechbogów kapłanka,
Mara jasnej młodości powiewna,
Biegnać szukać nowego kochanka!

SWIATŁA

Niebieskie światła po drżącym eterze
Słają jasność swoją w bezbrzeżne otchłanie,
A nikt nie dojdzie, skąd się blask ich bierze
I jak się w ciemność rozprasza świtanie?
I nikt nie zbada, co i w jakiej sferze
Z tej promienistej wędrówki powstanie?
Lecz moc nie ginie i promień skrzydlaty
Do życia nowe powołuje światy.

Tak samo światła ludzkich dusz, co płoną
I ponad ziemią znaczą drogę jasną,
Gdy promieniami w nieskończoność toną,
Chociaż się w ciemność rozproszą — nie zgasną;
Ale dalekiej przyszłości znikną
Przekazą siłę i słoneczność własną —
Aż z owych blasków rozpierzchłych w prze-
[strzeni

Nowa jutrzienka ludzkość opromieni.

KWIATY I CHWASTY

Są kwiaty tyle barwne i ponętne tyle,
Ze ściągają do siebie pszczoły i motyle;
Stoją wśród zalotników skrzydlatego wieńca
I nie mają obrony innej prócz rumieńca;
I źle im wróżą wszystkie doświadczone zioła,
Wiedząc, że słodycz lubi i motyl i pszczoła.

Są inne mniej powabne, lecz przezorne chwasty,
Co stoją najeżone, jak oset kolczasty.
I te przed napastników zuchwałą pogonią
Zabezpieczone, łatwo kolcami się bronią:
I dumne są z zwycięstwa, nic bowiem nie wiedzą,
Ze je pomimo kolców wreszcie osły zjedzą

IRONIA

Ironia dziwnym jest ziółkiem, co żyje
Łzami i bólem, a śmiechem zakwita:
Na gruzach szczęścia jako bluszcz się wije,
A w jego wieńcach ruina spowita.
Choć krwawe ślady w łonie swoim kryje,
Zawsze uśmiechem przechodzących wita
I własną pustkę i smutek wyszydza
Przed okiem widza.

EGZOTYCZNE KWIATY

Pod zwrotnikami rosną w lasach kwiaty,
Co przybierają wzory fantastyczne;
Strój ich niezwykły, wdzięczny i bogaty,
Cudowne barwy, wonie narkotyczne,
I nęcą zmysły ich korony świetne
I te zapachy z pozoru szlachetne.

Każdy z nich postać rzadkiego motyla,
Lub przepych kształtów nieznanych roztoczy:
Z szczeliny drzewa w błękit się wychyla,
Wprawiając w zachwyt podróżnika oczy;
A jednak one soki swoje biorą
Z zgnilizny, w drzewach ukrytej pod korą.

Są i uszucia, szlachetne z pozorów,
Rozpromienione całą blasków tęczą,
Nadziemskiej miary, cudownych kolrów,
Jakby anioły, co w błękitach klęczą,
I rozsiewają idealne wonie,
W których wędrowiec sercem swoim tonie.

A jednak chociaż taki czar roznoszą,
Chociaż cel w sobie przedstawiają wzniosły
I nęcą ludzi nieznaną rozkoszą,
One na drzewie zbutwiałym wyrosły:
Z głębi tajnego powstały zepsucia,
Te fantastycznie błyszczące uczucia.

WOBEC SFINKSA

Józefowi Rostafińskiemu

Szukałem prawdy, strawiłem wiek cały
Na dochodzeniu tajemnych praw bytu ...
Myśli me w ogrom gwiazdzisty leciały
Po nieskończonej przestrzeni błękitu ...
Przez słońc odległych tęczowe pożary,
Przez powstających mgławic pierwsze błyski,
Przez zamrożone i puste obszary,
Przez gwiazd cmentarze i światów kołyski,
Coraz to wyżej ... i wyżej ... i dalej ...
Aż od eterów odbiły się fali,
Od wiecznej nocy, co w przepaściach drzemie
I powróciły bezsilne na ziemię.

Do wnętrza ziemskiej zstępowałem bryły
Przez chaotycznie rzucone pokłady,
Gdzie swe pieczęcie i tajemnic ślady
Wieki przewrotów i wstrząśnień wyrwały
I te kamienne łamiąc sarkofagi,
W których się całe epoki zawarły,

Chciałem wydobyć trup przeszłości nagi,
Zawezwać świadki, które dawno zmarły,
Więc skamieniałe wskrzeszałem rodzaje,
Więc odtwarzałem dawne krajobrazy,
Słupy zieleni i bezlistne gaje,
W których potworne gnieździły się płazy,
Dzikie fantazje pierwotnej natury
Wylęgłe w zbytku ciepła i wilgoci,
Łabędzie gadów, skrzydlate jaszczury,
Ulatujące nad lasem paproci.

I coraz mglistsze śledziłem widoki
Na pękającej chwiejącej się korze,
Ciężkie, przy ziemi wiszące obłoki,
Wysepki lądów i bagniste morze ...
I tak, wstecz idąc od grobu do grobu,
Do ognistego wreszciem doszedł globu,
Który na moje pytania bez końca
Znów mnie odesłał na odległe słońca!

Gdziekolwiek swoje obróciłem oczy,
Ruchliwą falę widziałem w obiegu,
Która przez wieki pianę zjawisk toczy,
Do nieznanego wiecznie płynąc brzegu.
Widziałem światy jak pędzą w przestrzeni,
Na swojej osi tocząc się ukryte,
Wraz z księżycowych opaską pierścieni,
Które ze sobą unoszą w błękity.

Widziałem wszechświat w nieustannym wirze
Rozkołysany, jak lutnia drgająca,

Po której strunach światło leci chyże,
I falą ciepła pierś ziemi potrąca.
Widziałem wodę, jak płynie do morza
I w mgły zmieniona na lądy opada,
I żłobi w skałach dla potoków łoża,
I twardy kamień kruszy i rozkłada,
Przygotowując wilgotne posłanie
Dla mchu, lub pleśni, co zwolna powstanie.

Widziałem prądy powietrznych orkanów,
I w błyskawicach bijące pioruny,
Wstrząśnienia lądów, wybuchy wulkanów,
I zórz północnych zakrwawione luny.
Widziałem wszystkie żywioły tej ziemi,
Jak się nawzajem potrącają w biegu,
Jak wybuchają ogniami złotymi,
I w nowych zjawisk powstają szeregu;
Jak się spychają ... i cisną ... i wiążą ...
W powiewne pary, lub bryły granitu
I razem w bezmiar nieskończony ciążą,
Ważąc się wiecznie na szali błękitu ...
Więc chciałem schwycić te ukryte siły,
Co krąg wszechświata w wieczny bieg wprawiły.

Ale napróżno wyciągałem dłonie,
By je ułoić na przyrody łonie.
Próżnom chciał każdą wydzielić z wszechświata,
Aby przede mną stała skrzydlata
I w niewzruszone ujęta granice
Wypowiedziała bytu tajemnice.

Każda z nich wiecznie zmienna i ruchliwa
W inną się coraz przeradza i spływa ...
I jak Proteusz postać swą odmienia,
Krag niezmierny przechodząc istnienia —
Wszystkie bez granic, końca i początku
Biegły się ukryć w tajemniczym wątku,
W drobnych cząsteczek drgającej tkaninie,
Co w nieskończoność faluje i płynie,
I ukazały na dnie istnień głuchym
Materię, wiecznym ożywioną ruchem.

Więc chcąc za nimi dotrzeć do tej głębi,
Gdzie wir pierwotnych żywiołów się kłębi,
Począłem zwolna ziemskich ciał budowę
Na jej cząsteczki rozbierać składowe,
Które w swym wnętrzu tak jak większe bryły
Całe plejady drobnych światów kryły,
I rozłożone coraz bardziej związki
Na pojedyncze dzielić znów gałązki,
Poza widzenia i czucia granicą,
Jeszcze je dzieląc myśli błyskawicą,
Która wciąż biegła w nieskończoność, dalej,
Aż od eteru odbiła się fali ...

I tak przede mną cały świat widomy
Na nieuchwytnie rozprzął się atomy,
Na mgłę bez kształtów, rozmiarów i treści,
W której prócz ruchu, nic się już nie mieści
I w tej ruchliwej nicości przeźroczu,
Ciał rzeczywistość zniknęła mi z oczu,
I świat materii zagaśł jako tęcza,
Co drganiom światła trwanie swe zawdzięcza.

WIECZNIE TO SAMO

Wiecznie ta sama płynie zjawisk fala,
I wciąż obrazy odnawia te same,
Wiecznie jutrzienka swe ognie zapala
Z mgieł purpurowych tworząc słońcu bramę.

Wiecznie te same czary wiosna niesie,
Blaski i wonie, kwiaty i zieloność,
Te same chóry śpiewnych ptasząt w lesie,
Tę samą tęsknych pragnień nieskończoność.

Tą samą serca poją się rozkoszą,
I wiecznie snują nić tej samej przędzy;
Wiecznie te same skargi się podnoszą
Z ciemnej otchłani rozpaczy i nędzy.

A jednak jasność jutrzienki, wdzięk wiosny,
Ziemia i morze i niebios sklepienie,
Młodość, tęsknota i zachwyt miłosny,
Rozkosz i boleść, walka i zwątpienie,
I każda śpiewna kochanków rozmowa
Wiecznie jest nowa!

WY SIĘ SKARŻYCIE?

Wy ulubieńcy losu i wybrani!
Którym pogodne śmieją się błękity,
Wy się skarżycie, gdy wam stopę zrani
Cierń pośród kwiatów ukryty.

Gdy wam zabraknie słodkiej szczęścia rosy
I pierwszą gorycz przyniesie wam życie,
Na świat i ludzi i na swoje losy
Wy się skarżycie!

Zapominacie o swym dniu słonecznym
I, obejmując wszechświat w zlorzeczeniu,
Bunt podnosicie przeciw prawom wiecznym,
Przeciw istnieniu!

Lecz ci, co wzrosli w twardej z losem walce,
Wprzagnięci w jarzmo trudów i niedoli,
Ci nie zważają, że cierń krwawi palce,
Nie myślą o tym co boli.

Ci nie złorzeczą, ani się nie skarżą
Widzą, jak wszystkie nadzieje im gasną,
Na dolę własną.

Owszem, gdy znajdą po swym krwawym znoju
Chwilę wytchnienia z wszystkich chwil naj-
[rzadszą,

Z błogim uczuciem wiary i spokoju
W niebiosą patrzą.

W NOC CZERWCOWĄ

Ciepła, jasna noc czerwcową,
Woń duszącą kwiatów śle.
Rozmarzony świat się chowa
W księżycowej, srebrnej mgle.
Przy kwitnącej siedząc lipie
Białych chmurek śledzę bieg,
Wietrzyk z góry na mnie sypie
Kwiatów śnieg.

Zwolna głowa na pierś spada
I zachodzi cieniem wzrok ...
Rzeczywistość splywa blada
W poplątanych widzeń mrok.
Czyli czuwam, śnię lub marzę?
Nie poznaję dobrze sam,
Jakieś kwiaty, jakieś twarze
W oczach mam.

W piersiach dawnych wzruszeń dreszcze,
Dawne burze w sercu wrą ...
Nie wiem, co jest prawdą jeszcze?

A co sennych marzeń gra?...
Czy musnęła czoło drżąca
Pieszczotliwa mięka dłoń?
Czy to nocny motyl trąca
Moją skroń?

Czy to przeszłość wstaje żywa?
Znanych głosów słodki chór
Smutną skargą mnie przyzywa?
Czy to w dali szumi bór?
Czy to w liściach twarz widziadła?
Czy księżyc promień drży?
Czy to rosa nagle spadła?
Czy też lży?

SAMOTNE WIDMO.

We mgle wieczornej usiadło
Samotne, blade widziadło
Przy drodze koło cmentarza
I wzdycha, płacze, narzeka,
I o niewdzięczność oskarża
Serce człowieka.

„Co robisz? — pytam — nad ziemią,
„Gdy inne widma już drzemią
„I żywych więcej nie trwożą?
„Jaka zgryzota cię budzi?
„I po co z wieczorną zorzą
„Wracasz do ludzi?“

„Co robię? pytasz, co robię?
Czy nie wiesz, jak straszno w grobie
W wieczystej zostawać nocy,
I widzieć, jak żywych tłuszcza
Grób nas samotny, sierocy,
Bez łez opuszcza!“

„Ty nie wiesz, jak to, ach boli!
Gdy świat rozerwie powoli
Wszystkie serdeczne ogniwa,
I jak pierś naszą przygniata
Milcząca, zimna, wzgardliwa,
Niepamięć świata.“

„Dlatego wstaję z mogiły
I dążę, gdzie dla mnie były
Serca kochanków tysiąca...
Lecz choć wyciągam ramiona,
Każdy mnie z gniewem odtrąca
Od swego łona.“

„Nic nie chcą wiedzieć już o mnie,
Choć przysięgali niezłomnie
Dochować miłość i wiarę;
Więc wracam i patrzę zdala,
Jak wszystkie wspomnienia stare
Unosi fala.“

„Więc nie masz w świecie nikogo,
Któremu byłaby drogą
Twa pamięć, samotny cieniu?
Za jakie grzechy i winy
Przestałeś żyć już w wspomnieniu
Bratniej drużyny?“

„Ach, serce ludzkie tak zmienne!
Dawszy mi łoże kamienne,
Ciężkie zapomnienia głęboki
Nad grobem mym rozpostarło...
Choć jestem całej epoki
Myślą umarłą.“

MŁODOŚCI SEN

Młodości sen, uroczy sen
Roztacza krąg cudownych scen,
Wśród których walczym na przedzie,
I złotem lśniąc,
Szlachetnych żądz
W kraj bohaterstwa nas wiedzie.

Z młodości mar, skrzydlatych mar,
Tak szybko złudny znika czar,
Tak mało życie nam ziszcza!
Topnieje w łzach
Fantazji gmach —
Zostają gruzy i zgłiszczą!

ZMIERZCH MELODII

Spiewnej melodii słodczy,
Współczesne pienia słowicze,
Serc silniej nie wzruszą już:
Na gruzach wiary dziecięcej,
Duch ludzki pożąda więcej
 Wśród walk i burz.

Nie dość mu tkliwych pobudek:
Róż zwiędłych i niezabudek,
I szmeru srebrzystych strug,
Lecz żąda, by w męskiej nucie
Dźwięczało głębsze odczucie
 Duchowych dróg.

Trzeba mu w pieśni odbicia
Tej walki o prawdę życia,
Co z niebem rozpoczął wieść,
Prawda dlań teraz najświętsza,
Więc chce przeniknąć do wnętrza
 Istnienia treść.

Te, co nęciły go wprzód,
Bańki tęczowej uludy,
Straciły dawniejszy czar;
W chciwej za światłem pogoni
Od błędnych ogników stroni
 I nocnych mar.

Myśl niespokojna nań czyha
Na dnie rozkoszy kielicha
I z kwiatów odrywa wzrok;
Nawet miłosne marzenia
Bezmiarem swoim ocenia
 Zaziemski mrok.

Wszędzie go ściga myśl: po co
Z nieznaną ściera się mocą,
Z potęgą, co wiecznie trwa? ...
I czemu serce ogarnia
Nieskończoności męczarnia,
 Pod którą drga? ...

WIECZYSTE PIĘKNO

Stanisławowi Krzemińskiemu.

Wieczyste piękno daremnie dla ślepych
Roztacza wkoło barw i blasków przepych;
Daremnie jasne promienie, jak gońce,
Posyła ziemi to duchowe słońce,
Gdy nie ma oczu, którym światła promień
Mógłby otworzyć drogę uwidomień,
I ponad błotem skrwawionych trzęsawisk,
Ponad prądami mijających zjawisk,
Ukazać bytu zdroj słoneczny, złoty
Przenikający kolejne żywoty,
I ciągły przyływ tej świetlanej fali,
Co łańcuch istnień wiecznie doskonali.

Lecz chociaż dotąd jeszcze ziemski rody
Nie widzą wyższej harmonii i zgody,
I błądzą w cieniu bezsłonecznych krain
Z piętnem przekleństwa, jakie nosił Kain:
To wciąż powoli istniejąca siła
Potrzebne zmysły będzie im kształciła.
I tak jak niegdyś pod fal światła wpływem

Ślepy twór na świat błysnął okiem żywym,
Tak ślepa ludzkość w przyszłości zdobędzie
Do wyższych zadań konieczne narzędzie.

A gdy do światła otworzy swe oczy,
Ze wstrętem spojrzy na krew, co ją broczy,
Na posiew zemsty, który się odnawia
Z ziarn jadowitych krzywdy i bezprawia;
Na barbarzyństwa szalejący nierząd,
Co świat napelnia walką dzikich zwierząt;
Na źródło szczęścia zatrute tak marnie
Przez dobrowolnie stwarzane męczarnie...
Spojrzy ze wstydem i, jak z snu zbudzona,
Ku czystym blaskom wyciągnie ramiona
I pokieruje swoje przyszłe dzieje,
Gdzie piękno, dobro i prawda jaśnieje.

FANTAZJA LUDÓW

Fantazja ludów nieraz daje życie
I stwarza mężów, którzy nie istnieli,
W dziejach ich kształty rzeźbi jak w granicie
I taką mocą duchową obdzieli,
Ze choć ich postać i czyny legendą —
Pełniej i trwalej od innych żyć będą.

Daremnie potem dziejów badacz ścisły
Chce legendową przywrócić im rolę,
Widząc w nich tylko fantazji pomysły,
Słoneczne mity, lub wierzeń symbole;
Próżno te cienie chce pozbawić ciała,
W które je wieków tradycja ubrała.

UMYSŁ MĘDRCA

Głęboki umysł mędrca z swojego ogniska
Jak brylant różne barwy i odbłaski ciska,
A chociaż wciąż się mieni w barwnej światłach
[zorzy —
Z pojedynczych odbłasków harmonia się two-
[rzy.

Umysł pedanta na kształt brukowych kamieni
Tęczowymi barwami nigdy się nie mieni
I w tym duszę pokłada, że wciąż jednej miary,
Zawsze jest jednostajny, bezbarwny i szary.

PRZYCZYNOWOŚĆ

Nasz rozum ułatwiając poznanie zagadki,
Wiąże następujące po sobie wypadki
I związek zależności przeprowadza ścisły
W szeregu, co najbliżej podpada pod zmysły.
Więc o zjawiskach twierdzi w dochodzeniu

[krótkim,

Ze jedno jest przyczyną, a drugie jest skut-

[kiem.

Szukając zaś przyczyny, często nasza wiedza
Bierze za nią fakt błahy, co skutek poprzedza,
I gotowa nauczać, że sprawcą niepogód,
Był piejący przed deszczem na podwórzu kogut.

ADAMOWI PŁUGOWI

Błogosławione! te jasne i proste
Serca wierzące z słodczą gołębią,
Które, przetrwawszy ciężką losu chłostę,
Szlachetnych pragnień w sobie nie wyziębią.
I chcociaż nimi burza nieszczęść miota —
Widzą wciąż piękno i dobro żywota.

SPRZECZNE PRĄDY

Panu Pastorowi Julianowi Machlejdowi.

Miedzy rozpaczą a nową nadzieją
Serca się ludzkie bezustannie chwieją
I każda wieków mijająca chwila
W inną je stronę, jak kłosy, pochyla.

Czasami w świecie jakiś podmuch świeży
Do darów życia zaufanie szerzy,
Jakiś blask słońca pogodniejszy spływa,
Jakaś jutrenka barwna, migotliwa,
W której cel każdy, każda ludzka praca,
Różowym pragnień ogniem się wyżłaca.

Czasami znowu jakby ciemność burzy
Pogodny bytu widnokrąg zachmurzy...
Posepne w mrokach zjawia się widziadło
I sieje postrach twarzą swą wybladłą,
Co nieskończoność ludzkiej nędzy wieści
I bezcelowej niezmienności boleści.

Tak wciąż w ludzkości ważą się kolejno
Wiara w cel jasny z trwogą beznadziejną;
Dwa sprzeczne z sobą mieszają się chóry,
Dwa różne twórczej odczucia natury,
Dwa, z idealnej zrodzone tęsknoty,
Wysokie duchów współczujących wzloty,
Co jak dwa skrzydła w górę ludzkość niosą,
Promienne światłem i łez lśniąca rosą,
A serca, wielką miłością trawione,
W jedną lub drugą zwracają się stronę.

Są takie, które przygniata i nęka
Zyjących istot nieustanna męka,
A groza walki, bezpłodność konania
Cały ów błękit niebieski zasłania.
W nich ból pokoleń dawno zmarłych płacze,
I wszystkie świata schodzą się rozpaczę,
Wszystkie tytanów zbuntowanych kłótnie,
By je rozdziwić, jak żalosne lutnie,
Wypełnić jękiem i rozstroić trwogą,
Ze ulżyć ludzkiej niedoli nie mogą,
Więc nic dziwnego, że bólem nabrzmiałe
Prometeuszów dzielą kaźń i chwałę.

Są inne, które w srogim nieszczęściu wicherze,
Stają się coraz pokorniejsze, cichsze,
Choć współczujące, przecież górą płyną
Nad łez i nędzy posepną krainą;
Ponad ciał męką, nad zgnilizny warstwą,
Znajdując pewne w niebiosach lekarstwo
Na wszystkie życia choroby i rany;
Tym jakiś promień czysty i świetlany

Wśród walk zamętu wiarę w przyszłość szczepi,
Wskazując w dali świat, gdzie będzie lepiej...

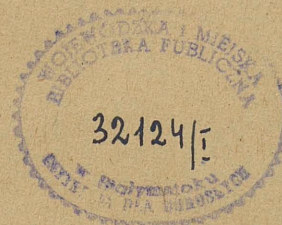
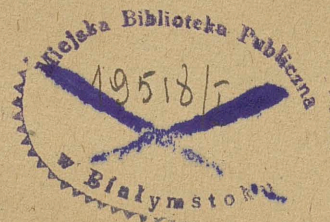
I tak wciąż serca pokoleń się chwieją
Między rozpaczą a nową nadzieją,
A ta nadzieja i ta rozpacz krwawa
W dziejach ludzkości równe mają prawa.

Ale w te duchów podniosłych sztandary
Stroić się lubią liche, nędzne mary.

Więc jest egoizm bezczelny i niski,
Wpatrzony w smacznej biesiady półmiski,
Który, gdy sobie podpije i podje,
Optymistyczne nuci wciąż melodie,
I z Bachantkami, jak pijany Sylen,
Pieści się brzmieniem miłosnych kantylen.
Zadna go cudza skarga nie poruszy:
Przed jękiem ludzkim zatkał sobie uszy
I zamknął oczy na nędzarzów boleść,
By do miękkiego wcześniej łoża doleść,
Gdzie zdała od tych, co smutni i krwawi,
Błogo przeżuwa i szczęśliwie trawi
I boski świata wychwala porządek,
Mając sen dobry i zdrowy żołądek.

Jest i pesymizm zrodzony w przesycie,
Któremu zbrzydło roztrwonione życie.
Gdy czarę uciech wysączył aż do dna,
Sądzi, że była ust jego niegodna,
I że ta rozkosz, którą ccił jak bóstwo —
To wieczne chytrej natury oszustwo!

W czczość chorej duszy cały świat obleka...
I gdy sam z własną niemocą się miota,
Chce innym źródła zatrzuwać żywota;
I tym zazdroszcząc, co wśród życia boju
Mimo ran ciężkich idą wciąż w spokoju
I patrząc w przyszłość z pogodnym obliczem,
Nieustraszeni, nieugięci niczym,
Na przekór losom nie tracą odwagi...
Wbija w ich piersi nóż szyderstwa nagi
I ciemną przepaść wskazuje pod nogą
I puste niebo, gdzie nie ma nikogo!
I bezowocność walki im tłumaczy,
Aby padali i marli z rozpaczny...



Treść tomu I.

	str.
Adam Asnyk (życiorys)	5

I. Programowe

Do młodych	13
Oda	15
Przeminął czas	18
Nad przepaścią	22
Przodownikom	25
Przed jutrem	27
Sonet	30
Miejmy nadzieję	32
Marnotrawcom	34
Chór oceanid	35
Odpowiedź przeszłości	36
Bóstwo tajemnicze	41
Na zgon poezji	44
Czarodziejka	47
Tantal	50
Epaminondas	52

II. Patriotyczno - religijne.

	str.
Przychodzisz do mnie	57
W albumie	58
Pierwiosnki	59
Gałązka jaśminu	62
Podróżni	65
W zatoce Baja	67
Pijąc Falerno	70
Apostata	73
Odpowiedź	76
Pamięci Józefa P...	80
Prośba	82
Toast w Poznaniu	85
Piosnka pijaka	87
Bezimiennemu	89
W 25 rocznicę powstania 1863 roku	91
Prolog na uroczyste otwarcie nowego teatru w Krakowie	101
Szczęśliwe ludy	104
Pobudka	106
Upomnienie	109
W dzień złożenia zwłok Mickiewicza na Wawelu	111
Historyczna nowa szkoła	112
Asceta'	114
Pod stopy krzyża	120
Ciche wzgórze	124

III. Społeczne.

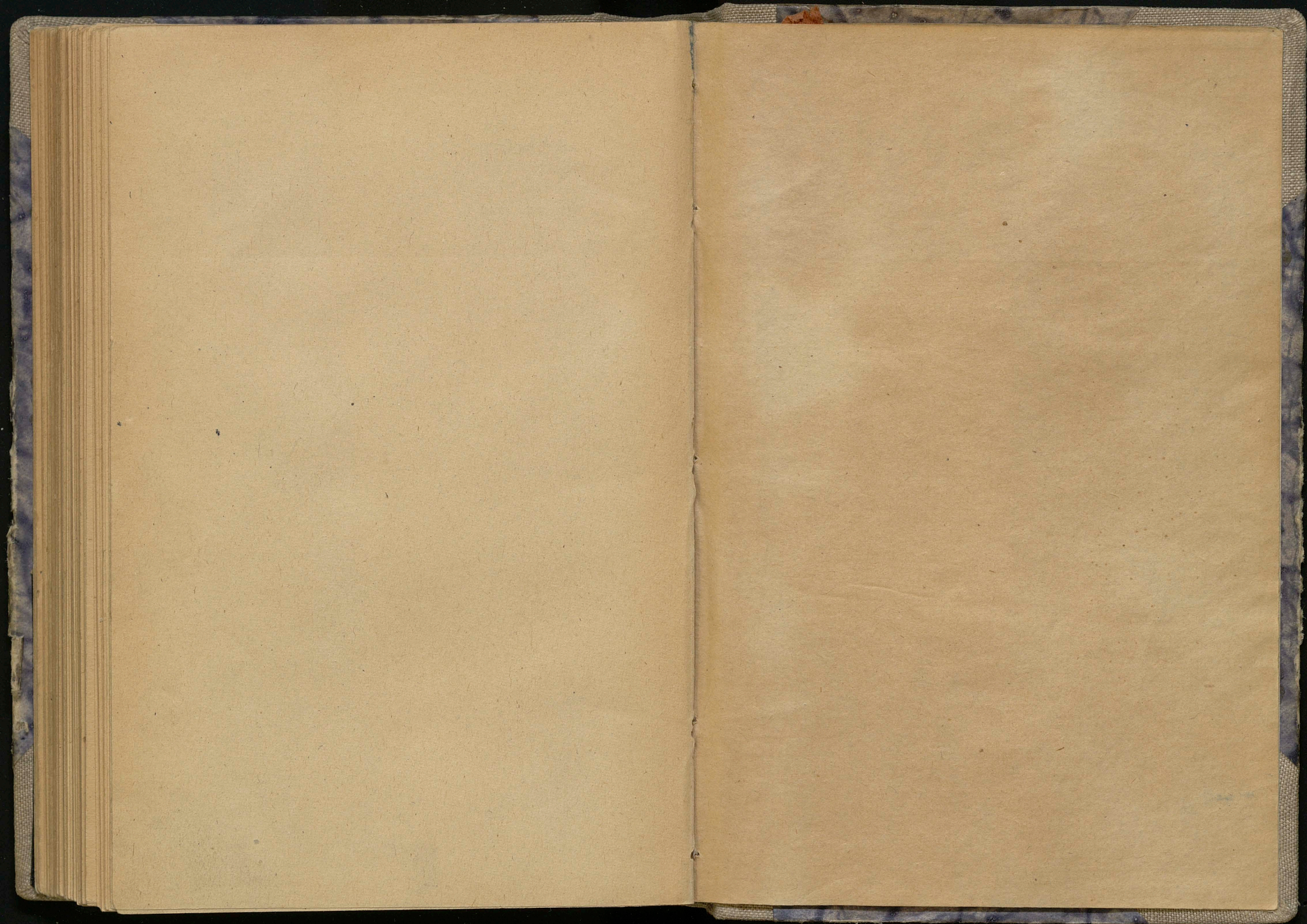
	str.
Zapustny obrazek	128
Dzisiejszym idealistom	131
Juliuszowi Mien	132
Krag przemian	135
Ta iza...	137
W obiegu	138
Głos wołającego na puszczy	140
Świat się ogniami zapala...	141
W walce o byt	143
Fale	145
Dzień wczorajszy	147
Nie bajka	150
Sztuczne kwiaty	151
Zaby	153
Wielkiemu człowiekowi	154
Bolesławowi Prusowi	155
Na Nowy Rok	157
Bez odpowiedzi	161
Wśród przełomu	164
Do Sokolów	170
Szkic do współczesnego obrazu	173
Wcielenie	176
Zapomnij o tym!	178

IV. Refleksyjne

Publiczność i poeci	181
Odłamowi Psychy Praxytelesa	198
Julian Apostata	207
Aszera	211

Rodzinnemu miastu	215
Pożegnalne słowo	220
Echo kołyski	222
Do ...	224
Nagrobek	226
Zmarłej dziewczycy	228
Na pamiątkę	230
Nokturno	231
Jedni i drudzy	234
Ludzkości!	236
XIX wiekowi	237
Na pobojuwisku	238
Powrót do domu	244
Sam na sam	248
Teatr w Tusculum	250
Dwa anioły	254
W ciemności grobu	256
Uśmiech	257
Przy kominku	259
Światła	261
Kwiaty i chwasty	262
Ironia	263
Egzotyczne kwiaty	264
Wobec Sfinksa	266
Wiecznie to samo	270
Wy się skarżycie?	271
W noc czerwcową	273
Samotne widmo	275
Młodości sen	277
Zmierzch melodii	278
Wieczyste piękno	280

Fantazja ludów	282
Umysł mędrca	283
Przyczynowość	284
Adamowi Pługowi	285
Sprzeczne prądy	286



821.162.1
Asnyk
Dzieła T.1

52124

Książnica Podlaska
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku



001192962